

## Teatr Kłamstw

*Piątek, 27 października*

Zwłoki sześciolatniego dziecka wyłowiono z portowego kanału około godziny szesnastej, tuż przed szybko zapadającym tego dnia zmierzchem. Robotnicy z okolicznych fabryk, tragarze i dokerzy zamiast pójść do domów na ciepłą kolację lub spędzić chwilę w pobliskiej tawernie, jak zwykli o tej porze czynić, zebrali się w okolicy Kanału Departańskiego, który nosił nazwę po zmarłym przed ponad dwustu laty generale Luizjonie de Partanie, człeku wybitnym i walecznym. Być może to całe grono gapiów wciąż miało w planach zjedzenie gorącej stawy czy długie folgowanie w portowej gospodzie, lecz teraz obiektem ich zainteresowania stał się kordon policjantów, broniący dostępu do krawędzi rowu, a także tajemniczych dziecięcych zwłok, które z niego wyłowiono.

Z szerokiego na dziesięć i głębokiego na cztery stopy kanału wydobywał się odór ścieków oraz drażniący nozdrza smród spływających z fabryk chemikaliów, zwłaszcza z pobliskiej garbarni. Sądząc po stanie podłużnego, łączącego wiele rynsztoków dołu, ten od lat nie był przeczyszczany. W niektórych miejscach warstwa toksycznego mułu, połączonego z dawno wyschniętym łajnem, górowała nad ilością wody. Chociaż Kanał Departański był niezbędny dla okolicznych mieszkańców, mało kto zapuszczał się w te strony. Miejsce to znajdowało się nieco na uboczu, tuż obok porośniętego tatarakiem i oczeretami wybrzeża, które z kolei graniczyło z najbiedniejszą dzielnicą w mieście, zwaną szyderczo Dzielnicą Żabojadów, gdyż to właśnie żaby od lat wpisywały się w jadłospis tamtejszych mieszkańców. Ponadto od kanału skutecznie odstraszał towarzyszący mu zapach, zmuszający do zasłaniania ust odór, którego intensywność potęgowała się szczególnie wiosną i jesienią.

Morgan, działający niezależnie detektyw, poczuł ten smród już z daleka. Prowadzony na miejsce zdarzenia przez funkcjonariusza Finna Maclovera, przedarł się przez szaroburą ciżbę zainteresowanych sprawą gapiów, których stale przybywało. Wszyscy bowiem chcieli wiedzieć, co takiego zaszło i kim jest wyłowiony z mułu chłopiec.

Maclover uniósł dłoń, a dwóch młodszych funkcjonariuszy rozstąpiło się, wpuszczając w obręb kordonu zarówno jego, jak i detektywa Morgana Wellera.

– To tutaj, a tam, o, dziecię utopione leży – wskazał Maclover. – Gdybyśmy go z mułu trochę nie oczyścili, to ciężko by było poznać, że to w ogóle człowiek.

Morgan wychylił się zza ramienia jednego z policjantów, który wraz z czwórką innych mężczyzn stał bezpośrednio nad zwłokami bladego, kilkuletniego chłopca. Panowie dumali wyraźnie, wymieniając się przy tym cennymi spostrzeżeniami.

Częściowo pokryta błotem i zgniłymi liśćmi ofiara nie była zmasakrowana ani na pierwszy rzut oka w żaden sposób uszkodzona. Sina, obmyta niedawno przez funkcjonariuszy twarz kędzierzawego kilkulatka nie nosiła żadnych znamion przemocy; zadrapań, otarć czy guzów. Ciężko też było dostrzec szczegóły ubioru młodego nieszczęśnika. Tam, gdzie żandarmom udało się zrzucić warstwy lepkiego mułu, można było dostrzec kilka wskazujących na mieszczańskie pochodzenie elementów – chłopiec odziany był w grafitowy płaszcz, siwo-czarne, prawdopodobnie kraciaste spodnie, skórzane półbuty z grubą podeszwą oraz zaciągniętą aż po brwi, wyglądającą na ciepłą, wełnianą czapkę o trudnym do ustalenia kolorze. Jego przemyte alkoholem lico zdradzało wszystkie szczegóły. Dziecko wyglądało tak, jakby zmarło we śnie. Weller przyjrzał się jego podkrążonym oczodołom, bladym jak papier powiekom, zmarzniętym wargom koloru sino-purpurowego. Zaklął pod nosem.

Finn Maclover podszedł do swego przełożonego i wymruczał do niego kilka słów. Ten odesłał go kiwnięciem głowy, poczym poufale zerknął na detektywa. Uśmiechnął się półgębkiem.

Morgan był mężczyzną w sile wieku. Nie miał jeszcze czterdziestki, lecz niewiele mu do niej brakowało. Sięgające karku, ufryzowane do tyłu włosy zwykle chował pod ulubionym czarnym szapoklakiem, owiniętym jeszcze czarniejszą tasiemką. Oczy detektywa, ciemne niczym onyks, zwykle wyrażały skupienie, zaś przenikliwe spojrzenie, cóż... mogło co niektórych wprowadzać w nieprzyjemną konsternację czy nieuzasadnione poczucie winy, nawet w przypadku bycia niewinnym. Złowrogiego i bardziej poważnego wyglądu z pewnością dodawał mu bujny wąs, który dodatkowo sprawiał, że szalały za nim kobiety, także te zamężne. Nic więc dziwnego, że to właśnie od nich zwykł wyciągać najwięcej informacji. Tym razem jednak zdany był na rozmowę z kolegą po fachu.

– Choć raz na miejscu zdarzenia mógłbyś się pojawić bez uprzedniego zaproszenia, panie Weller – rzekł bezceremonialnie Viktor Kandlehofer.

– Jestem prywatnym detektywem – mruknął Morgan, wyraźnie oponując. – Przychodzę tam, gdzie ktoś może mi zapłacić, panie komisarzu. Skoro posłałeś po mnie jednego ze swoich ludzi, mniemam, że i tym razem potrzebujesz pomocy.

– Nie wyprzedzajmy faktów. – Viktor poprawił skórzany pendent, ukośnie przecinający szamerowany mundur w kolorze butelkowej zieleni. – Nie nazywałbym tego pomocą. Policja prędzej czy później sama rozwiązuje nawet te najtrudniejsze śledztwa.

Detektyw skrzyżował ręce na piersi. Noszony przez niego brązowy płaszcz zmarszczył się w wielu miejscach.

– Jeśli uprzednio dostanie jakiś cynk... Tak się składa, że sporą część cynków miałeś ode mnie, komisarzu. Chyba pamiętasz sprawę Rzeźnika z ulicy Kryształowej?

Viktor Kandlehofer podrapał się po potylicy.

– Tak, pamiętam – cmoknął. – Jednakże wolałbym nazywać naszą współpracę partnerstwem, tak dla ścisłości. Bo widzisz, ty i ja stoimy na straży porządku w Devstorn.

Idealista, pomyślał Morgan, lecz nie skomentował. Był nieco zaskoczony poufałymi słowami starszego policjanta.

– Ale dość już o tym – ciągnął komisarz. – Musimy się zająć kolejną sprawą...

Panowie zerknęli na zwłoki kilkuletniego dziecka.

– Chłopiec, prawdopodobnie siedmiolatek, raczej ze średnio zamożnej rodziny. Ciało znalazł jeden z marynarzy, który przyszedł w to miejsce za potrzebą. Został już zresztą przesłuchany. Nazywa się Amis Teravir, pochodzi z Murecji, a okręt, na który się zaciągnął, przybił do portu dzisiejszego poranka. Znalezienie trupa było więc dziełem przypadku, choć sam zainteresowany twierdził, że nic nie dzieje się bez przyczyny i wszystko ma jakiś zapisany w gwiazdach sens. Majaczenie alkoholowe.

Weller zakręcił wąsem.

– Wiemy coś więcej?

– Nie – odparł zimno Viktor, po czym sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął pokaźne cygaro i paczkę zapalek. Po chwili zaciągnął się kojącym myśli tytoniem, błogo mrużąc przy tym oczy. – Wybacz, nie paliłem od kilku godzin... Rano jacyś młodzi zgłosili zaginięcie dziecka. Mało tego, są święcie przekonani, że ich syn został porwany. Ciekawe, czyż nie? Posłałem już po nich swoich ludzi. Powinni się tu zaraz zjawić.

Detektyw rozejrzał się dookoła. Funkcjonariusze krzątali się wokół kanału, szukali jakichkolwiek śladów, nawet najdrobniejszych, przeczesywali też rosnące przy ujściu oczerety. Część ich uwagi przykuły porzucone w wodzie żerdzie, leżące po stronie Dzielnicy Żabojadów, tam gdzie w kamiennych ścianach kanału widać było znaczne ubytki. Zbutwiały sąg drewna, wzmocniony dodatkowo warstwą mułu, przypominał żeremie, ale przecież w

mieście nie było bobrów. Policjanci szybko więc ustalili, że prowizoryczna konstrukcja miała najprawdopodobniej zapobiegać przedostawaniu się wody do nieco zapadniętej dzielnicy. To właśnie na tych rozrzuconych gałęziach zatrzymało się ciało młodej ofiary.

– Co to za jedni? – Morgan przerwał ciszę. – Ci, którzy zgłosili zaginięcie syna. Jak się zwa?

Nim odpowiedział, komisarz wypuścił w powietrze chmurę szkodliwego dymu.

– Volantine’owie – odpowiedział z chrypą w głosie. – Elisa i Julian Volantine’owie. O, spójrz, już tu idą!

Weller obrócił się.

Z tłumu wyszła odziana w długi, wełniany płaszcz kobieta, której ciemne, kręcone włosy były częściowo skryte pod bawełnianą chustką, zawiązaną na smukłej szyi. Tuż za nią szedł jej mąż, Julian, młody mężczyzna o bujnej czuprynie przyciśniętej grafitowym robotniczym beretem.

W zgromadzonej grupie gapiów doszło do jakiegoś poruszenia. Wnet wzniosły się szmery, pomruki i ciche rozmowy. Część gawiedzi dostrzegła bowiem twarz nadszarpniętej mieszczanki, jej pękające kamienne oblicze.

Para zbliżyła się niepewnie. Policjanci rozsunęli się, ukazując leżące na brukowanym klepisku ciało kilkuletniego chłopca. Elisa Volantine zachwiała się, omal nie mdlejąc. Pomocnym okazało się ramię jej męża, który, mimo stosunkowo większego opanowania, również nie potrafił powstrzymać się od płaczu; słone łzy spłynęły po jego różowych policzkach.

– Dorian! – Matka wpadła w histerię. – Mój synku! Syneczku!

Julian, który roztrzęsiony patrzył z zalem w niebo, starał się odciągnąć od zwłok dostającą spazmów żonę. Ta z kolei szarpała się zawzięcie, wrzeszcząc przy tym rozpaczliwie i próbując uklęknąć przy martwym dziecku.

– Nie! Zostaw mnie! – krzyczała, gdy na pomoc młodemu mężczyźnie ruszyli funkcjonariusze policji. – Zostaw! Nie! To nie może być prawda... ZOSTAW MNIE!

– No, to już wiemy, czyje to dziecko – podsumował beznamiętnie komisarz.

– Jeśli zostało porwane – oznajmił ze spokojem detektyw – to nie mógł to być nieszczęśliwy wypadek. Miałeś kiedyś do czynienia z morderstwem dziecka?

– Nie, nigdy.

– Ja też nie.

Ich ostatnie słowa zagłuszyło przepelnione ogromnym bólem wycie zdruzgotanej pani Volantine. Zmrok zapadł tego dnia wyjątkowo szybko.

•

– Dzięki za zaproszenie – powiedział komisarz, zajmwszy wyznaczone przez detektywa miejsce. – Dawno nie byłem w twoim biurze, Weller. Trochę się tu pozmieniało. Zaskakuje mnie też fakt, że sam po mnie przyszedłeś. Zwykle to my wzywaliśmy ciebie, byś pomógł nam rozwikłać zagadkę i zgarnąć cały splendor.

Morgan powiesił orzechowy płaszcz na dębowym wieszaku, zrzucił z głowy czarny cylinder, poprawił grafitową kamizelkę, po czym zasiadł po drugiej stronie biurka, na którym leżał rozwarty mniej więcej na środku dziennik, kilka kieszonkowych notesów i mniej ważnych drobiazgów, wśród nich szklana popielniczka.

– Czyżbym wyczuwał żal? – mruknął detektyw.

Było kilka minut po godzinie dziewiątej. Blade promienie słońca wpadały ostro przez szerokie, lekko zakurzone okna biura, wypełniając jego wnętrze złocistym blaskiem. Choć był prawie początek listopada, dzisiejsza pogoda przypominała raczej złocistą jesień. W przeciwieństwie do zeszłego roku śnieg nie spadł jeszcze ani razu.

– Skądże – bąknął Viktor Kandlehofer. – Po prostu widzę, że z jakiegoś powodu zainteresowałeś się tą sprawą.

– Ty byś się nie zainteresował? – Morgan popatrzył głęboko w błękitno-szare oczy komisarza. – Zamordowano dziecko. Sześciolatka. Kto i dlaczego zrobiłby coś takiego?

– Jeszcze nie wiemy, czy było to morderstwo...

Detektyw rozłożył się w fotelu.

– Żartujesz sobie.

– Nie. Dziecko mogło znaleźć się tam przypadkiem. I równie przypadkowo wpadło do kanału, ugrzęzło w mule i... utonęło. Po prostu.

– Chyba w to nie wierzysz? – prychnął Morgan, odsłaniając śnieżnobiałe zęby. Nie czekał na odpowiedź, odbiegł nieco od tematu: – Wiesz, czemu uważają mnie za najlepszego detektywa w tym mieście?

– Bo rozwiązujesz śledztwa z pozoru nie do rozwiązania? – sapnął starszy policjant.

– Nie. Bo nie wierzę w przypadki. W naszej branży, komisarzu, nie ma miejsca na przypadki. I zapewniam, nic nie dzieje się przypadkowo.

Viktor pogładził dłonią szary, zarośnięty podbródek. Zmarszczył posiwiałe brwi. Choć wyglądał na znacznie starszego, w rzeczywistości miał dopiero czterdzieści trzy lata, był sprawny fizycznie i, jak mówiono, doganiał nawet dużo młodszych od niego zbiegów. Potwierdzeniem jego czynów oraz zasług były trzy srebrne odznaki, które każdego ranka z dumą przypinał do zdobionego złotymi galonami munduru w kolorze butelkowej zieleni.

– Nie ucz ojca dzieci robić. Posłuchaj, przyjacielu, musisz zrozumieć, że póki brakuje dowodów, póty mam związane ręce, jasne? Domysły zostawiam tobie. Nie każ mi postępować według nich. Współpracujemy, ale nie wchodzimy sobie w drogę, umowa stoi?

Weller skinął głową.

– Nie zależy mi na uznaniu – przyznał ze spokojem. – Nie zależy mi na kolejnej laurce w codziennej gazecie. Zginęło dziecko. Pierwszy raz w swojej karierze będę mierzył się z zagadką śmierci kilkuletniego dziecka. Proponuję odłożyć na bok wszelkie niesnaski i czym prędzej zająć się sprawą.

– No właśnie... – Komisarz wzruszył ramionami. – Po co mnie tu zaprosiłeś? Sądziś pewnie, że już coś wiem?

– W rzeczy samej. – Oczy Morgana zwięzły się. – Podziel się ze mną tą wiedzą. Masz przecież świadomość, że po pierwsze nie raz pomogłem ci rozwiązać trudne śledztwo. Po drugie... – Morgan uniósł demonstracyjnie dłonie. – Moje ręce nie są związane. Mogę działać niezależnie, dotrzeć do prawdy lub chociaż półprawdy, a wówczas czym prędzej cię powiadomię i...

– Stoi. – Viktor Kandlehofer zmarszczył łyse czoło. Skupienie wymalowało się na jego bladej twarzy.

Detektyw uniósł brew.

– Tak po prostu?

Policjant wyciągnął z kieszeni cygaro w kolorze zgniłej ochry. Poczekawszy na przyzwalające spojrzenie swojego rozmówcy, podпалиł czubek zwiniętego w rulon tytoniu i zaciągnął się. Był nałogowym palaczem. Nie mogąc się powstrzymać, palił nawet w pomieszczeniach zamkniętych.

– Masz rację, Weller – orzekł z chrypą. – Khe, khe, pomogłeś zakończyć wiele śledztw, jesteś najlepszy w swym fachu, dlaczego więc miałbym rezygnować z twojej pomocy?

Morgan nie poruszył się.

– W zasadzie to nie masz powodu.

– Ja powiem ci, co wiem, a ty poinformujesz mnie, gdy dowiesz się czegoś nowego.

– Zaczynaj więc.

Komisarz oparł rękę o stół, zaciągnął się cygarem. Błękitno-szare oczy utkwili w onyksowych ślepiach swojego kamrata.

– Rodzice dziecka utrzymują, że chłopiec został porwany, gdy matka wypuściła go do wychodka. Brama prowadząca na podwórze była otwarta, ale młody wiedział, że ma zakaz jej przekraczania. Elisa upiera się, że ktoś wszedł między kamienice i uprowadził małego Volantine'a.

– Tak w biały dzień? – zdziwił się detektyw.

Kandlehofer spojrział w wychodzące na ulicę Rzemieślniczą okno.

– Tak, podobno.

– Nie wierzysz jej? – Morgan dostrzegł na jego twarzy cień wątpliwości.

– Dziecko wyłowiono z Kanału Departańskiego – westchnął Viktor, wypuszczając z ust chmurę dymu. – W pobliżu znajdują się tylko doki, stocznia, magazyny, oberża i... budynek poczty.

– No i?

– Khe, khe, w dniu zaginięcia chłopca pani Volantine była widziana w tej okolicy. Ona sama podtrzymuje, że na poczcie była dzień wcześniej, w czwartek, ale świadkowie, wyobraź sobie jej dwie znajome, mówią co innego.

Weller pochylił się nad stołem.

– No i co tam rzekomo robiła?

– No raczej nie piekła babeczek. – Komisarz wzruszył ramionami. – Wysyłała list, jak twierdzi, do matki. Wiadomość ma trafić do Hamphirsher. To mała miejscowość, oddalona od Devstorn o jakieś dwieście mil. Minie trochę czasu, zanim list dotrze na miejsce, ale nie tym się martwię. Jest jedna rzecz, która nakazuje poddawać w wątpliwość jej zeznania. Khe, khe, wyobraź sobie, że rodzina od kilku miesięcy otrzymywała listy z pogrózkami. Pierwsza tego typu groźba znalazła się pod ich adresem dokładnie czternastego stycznia bieżącego roku. Co dziwne, Volantine'owie nie zgłosili tego faktu na policję, choć adresant zagrażał, że Julian Volantine w końcu się doigra i że ten odbierze mu to, co mężczyzna kocha najbardziej. Pewnie się domyślasz, iż mogło tylko chodzić albo o syna, albo o żonę. Dziś wiemy, że padło

na dziecko, o ile za jego śmiercią rzeczywiście stoi ów tajemniczy osobnik. Ten, khe, khe, nazwijmy to, delikwent podpisywał swe wiadomości jako „Kojot”.

– „Kojot?” – Morgan zmarszczył brwi.

– To takie zamorskie zwierze, drapieżnik podobny do psa...

– Ciekawe. Zatem podejrzanym jest tajemniczy nadawca liścików z pogrózkami...

– Khe, khe... i pani Volantine. Dopóki jej alibi jest niejasne, musimy ustalić, czy byłaby w stanie zamordować własne dziecko.

Morgan wstał, sięgnął po jeden z kieszonkowych notesów i wsunął go do kieszeni grafitowej kamizelki. Popatrzył na towarzysza.

– Skoro zatem nie wiemy, kto jest tajemniczym Kojotem, powinniśmy wpierw złożyć Volantine’om wizytę. Może się czegoś dowiemy.

Viktor Kandlehofer przykrył łyse czoło garnizonową czapką z króciutkim daszkiem. Zgasił cygaro i zostawił je w okrągłej, szklanej popielniczce, po czym wstał z wolna, poprawiając złociste galony na ramieniu. Na koniec zarzucił na siebie skórzany felcech, do którego przymocowana była oficerska szabla o srebrnej rękojeści.

– No, to nie traćmy czasu i chodźmy tam czym prędzej.



Drewniany, czarny powóz, którym podróżowali, zatrząsł się, gdy skręcając, zjechał z brukowanej drogi. Konie zarżały, mijając grupę oliwkowych niewolników, pędzonych jak bydło przez grubego poganiacza w brązowym kapeluszu. Morgan dwoma palcami odsunął szarawą zasłonę i wyjrzał na ulicę. Choć nie pamiętał, czy w ogóle kiedykolwiek był w tym miejscu, intuicyjnie rozpoznał, że znajdują się już na ulicy Fabrycznej – nadstawił uszu i usłyszał symfonię pracujących rytmicznie tokarek, napędzanych potężnymi tłokami pras, gumowych taśm, sennie przesuwających się po metalowych wałkach, oraz innych maszyn, których nazw nawet nie znał.

Viktor Kandlehofer siedział po drugiej stronie karocy. Przyglądał się detektywowi, jakby chciał mu coś przekazać.

– Wyduś to z siebie – rzekł detektyw, odwróciwszy ku niemu głowę. – Niech zgadnę, zapomniałeś mi o czymś powiedzieć.

Komisarz spowaźniał i nabrał powietrza.



– Ten Kojot... To musi być ktoś z rodziny.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo to nie były zwykłe listy z pogroźkami, Morgan. Ich treść wygląda tak, jak gdyby gość znał wszystkie szczegóły tej rodziny, a już na pewno ich słabości...

Morgan pochylił się, opierając łokcie o kolana, na których luźno spoczywały orzechowe brzegi skórzanego płaszcza.

– Podasz mi jakiś przykład?

– Pewnie. Kojot raz napisał: „Julian zapłaci za to, że zostawił chorą matkę na śmierć”.

– Jak się to ma do stanu rzeczywistego?

Kandlehofer wydał usta, po czym cmoknął, kręcąc lekko głową.

– Trzy lata temu matka pana Volantine’a odeszła z tego świata. Wcześniej przez długi czas zmagala się z suchotami. W ciągu swych ostatnich tygodni nie wstawała nawet z łóżka, dusiła się i robiła pod siebie, wiesz, jak to jest...

– Kto się nią zajmował? – zapytał detektyw, prostując się.

– Brat Juliana, Nigel. Moi ludzie sprawdzają ten wątek, lecz coś czuję, że to nie wystarczy.

– Komisarz zamyślił się wyraźnie. Jego wzrok stał się pusty. Oczy utkwił w dębowej podłodze powozu. – Mam pewien plan...

– Jaki? – zapytał sennie Morgan Weller.

Wtedy siedzący na zewnątrz stangret zatrzymał konie. Pojazd stanął nagle, a wierzchowce prychnęły z ulgą. Podróżujący dotarli do celu swej podróży.

– Jesteśmy na miejscu, komisarzu! – zawołał dorożkarz, któremu wcześniej mężczyźni zapłacili za przejazd.

– Później ci wyjaśnię – syknął Viktor, patrząc w oczy detektywa. – Teraz chodźmy.

Wysiedli i skierowali się w kierunku bramy prowadzącej do podwórza, otoczonego przez połączone ze sobą kamienice z bordowej cegły. Idąc wzdłuż szutrowej ulicy, miejscami naznaczonej głębokimi kałużami, powstałymi po ostatnich opadach jesiennego deszczu, minęli szczupłego mężczyznę w matowym szarym płaszczu i czarnym meloniku.

Komisarz uniósł nieznacznie dłoń na znak powitania. Tamten drugi odpowiedział tym samym. Morgan zaś nie przejął się nieznajomym.

To pewnie ktoś z policji, pomyślał.

Brama była otwarta, toteż bez zapowiedzi weszli na podwórze. Nawet późną jesienią, kiedy na zewnątrz powiewało chłodem i codziennie przepadywało, a zmrok zapadał już po

godzinie piętnastej, przy górcie żwiru bawiły się dzieci z sąsiedztwa. Widząc śledczych oderwali się od zabawy.

Domu Volantine'ów pilnowało dwóch funkcjonariuszy, których Viktor również pozdrowił delikatnym podniesieniem ręki.

Weszli do środka, gdzie panował szarawy półmrok. Z surowego korytarza drzwi prowadziły prosto do mieszkania Volantine'ów, którzy mieszkali zaraz na parterze.

Rodzice zmarłego dziecka siedzieli przy stole. Wzrok Juliana był pusty, zaś on sam wydawał się być nad wyraz nieobecny, przytłumiony. Odmienną postawę reprezentowała Elisa – kobieta była niespokojna, zachrypnięta, a jej oczy świadczyły o tym, że nie spała przez ostatnie noce.

Viktor i Morgan zajęli miejsca po drugiej stronie stołu, na którym stał wazon z uschniętymi kwiatami. Jakże symbolicznie, pomyślał wtedy detektyw. Oprócz nich w mieszkaniu znajdował się jeszcze jeden funkcjonariusz, Finn Maclover, który miał za zadanie pilnowanie zdruzgotanych rodziców.

Rozmowa trwała dobrą godzinę, lecz śledczy nie dowiedzieli się niczego nowego. Elisa Volantine utrzymywała, że tamtego dnia nie było jej w porcie, nie poszła na pocztę, a osoby, które twierdzą inaczej, według niej, najwyraźniej mylą dni. Kobieta jak mantrę powtarzała jedno zdanie:

– Moje dziecko zostało porwane... i zabite.

Potem rozpląkiwała się ponownie, oddając się w ramiona młodego męża o twarzy tak kamiennej, jakby wypląkał dotychczas wszystkie łzy.

Później, gdy komisarz zdradził tożsamość Morgana Wellera oraz zaoferował jego usługi, Volantine'owie oznajmili ze spokojem, że wynajęli już detektywa, który zajmie się ich sprawą, i nie potrzebują kolejnego. Wtedy Morgan zmieszał się wyraźnie. Kątem oka zerknął na bladą twarz swojego towarzysza. Uznał, że nic tu po nim, uklonił się ledwie wyraźnie, zarzucił na siebie orzechowy płaszcz oraz czarny cylinder, a następnie skierował się do wyjścia.

Kiedy był nieopodal bramy, został dogoniony przez komisarza. Ten wyraźnie chciał wpłynąć na detektywa, sprawić, by nie porzucił tejże sprawy.

– Słyszałeś ich? – burknął Weller, stając w cieniu wysokiej kamienicy. – Nie potrzebują mnie. Wynajęli Augusta Folstona...

– Wiem – rzekł stanowczo Viktor, odwracając głowę w kierunku zatłoczonej ulicy Fabrycznej. Zewsząd dobiegały hałasy z manufaktur; dźwięki maszyn oraz gorączkowe okrzyki brygadzystów.

– Wiesz i wiedziałeś już wcześniej, mam rację? A z tym całym Folstonem pewnie wymieniasz się informacjami?!

Komisarz zdjął z głowy garnizonową czapkę. Otwartą dłonią przetarł łysawe czoło.

– To kolejny dzień śledztwa – westchnął – a my nadal nie postawiliśmy nikogo w stan oskarżenia. Cholera, nie ma nawet podejrzanego. Przyda nam się każda para rąk...

– Jak nie ma podejrzanego, to wszyscy są podejrzanymi.

Zamilkli na moment.

– A więc odchodzisz? – podjął Viktor, unosząc brwi.

– Szczurów z ulicy do gara nie włożę. Tobie płaci król, ja zarabiam na ludzkich tragediach. Skoro Volantine'owie mnie nie potrzebują, to nic tu po mnie.

Kandlehofer skrzywił usta.

– Zastanów się jeszcze, Weller.

Morgan złapał w dwa palce krawędź ronda onyksowego cylindra. Skinął subtelnie głową i powiedział:

– Powodzenia.

– O tej sprawie będą pisali w całym kraju...

– W takim razie zobaczę, czy przyćmi ona rozgłos, jaki swojego czasu zdobył Rzeźnik z ulicy Kryształowej.

– Wtedy pomogłeś nam go ująć. – Viktor spróbował wziąć go na litość. – Pomóż nam i w tej sprawie.

Detektyw popatrzył na niego wymownie. Odszedł, zostawiając przyjaciela bez jednoznacznej odpowiedzi.

•

– Sporo tu osób – powiedział Morgan, kiedy zimny wiatr poruszył starymi gałęziami obumarłego dębu.

– Połowa z nich to moi ludzie – odetchnął Viktor, wodząc wzrokiem po kotłujących się w dole ludziach. – A tam, o, zobacz, dziennikarze się zlecieli.

Detektyw spojrział na wskazane przez towarzysza miejsce, gdzie idący żałobnicy byli uporczywie zaczepiani przez uzbrojonych w notesy i pióra mężczyzn, zbierających pojedyncze informacje, z których to później mieli napisać przyciągające uwagę artykuły. Niektórzy byli tak zdeterminowani, że chcąc uzyskać materiały do swoich notatek, wchodzili nawet na groby. Ich zachowanie budziło ogólną dezaprobatę zarówno wśród żegnającej dziecko rodzinie, jak i prowadzącym ceremonię duchownym.

– Odczepcie się! – warknął Julian Volantine, gdy jeden z pismaków zadał mu kolejne niewygodne pytanie. – Zostawcie nas! Wynocha!

W sukurs niedawnemu ojcu pospieszyła rodzina, która przegoniła natarczywego żurnalistę.

– Dlaczego tu jesteś? – podjął komisarz po chwili ciszy.

– Chciałem... – chrząknął Weller – zobaczyć pogrzeb.

– Pogrzeb jak pogrzeb... Przyznaj się, że sprawdzasz, jak mi idzie. Pewnie też wiesz, dlaczego wziąłem ze sobą tylu żandarmów.

– Wiem – odpowiedział detektyw, patrząc na niosących malutką trumnę mężczyzn. – Swoim ludziom dałeś zapewne jedno zadanie. Mają patrzeć na twarze żałobników, szukać czegoś, co mogłoby wskazywać, że tajemniczym Kojotem jest ktoś z rodziny.

Zgromadzeni zebrali się wokół wykopanego dwie godziny wcześniej dołu, nad którym od dłuższej chwili stał kapłan. Elisa Volantine zanosła się płaczem, łkała, a jej głos stale się łamał. Jej mąż również nie krył łez, a ponadto obejmował żonę, przytulał i ścisnął jej ramiona. Pozostali przeżywali pogrzeb w ciszy.

– Synku, wstań! – wrzeszczała kobieta. – Zbudź się, proszę!

Kapłan rozpoczął ceremonię. Wiatr znów zakolysał gałęziami okolicznych drzew.

– Wciąż jednak interesuje mnie jedna rzecz – mruknął Viktor, obracając głowę w kierunku detektywa. – Co ci do tego? – Wzruszył ramionami. – Przecież porzuciłeś śledztwo...

– Oszukałeś mnie, komisarzu. Nie wspomniałeś, że sprawą zajmuje się już inny detektyw. Czy gdybym dostarczał ci informacji, przekazywałbyś mu je? A gdyby dzięki temu jako pierwszy rozwiązał śledztwo, to co, hm? No właśnie. Ci krzykacze nie daliby mi spokoju. W nagłówkach pisaliby, że Morgan Weller przegrał z jakimś Augustem Folstonem.

– Przesadzasz – wycedził Kandlehofer. – Interesuje cię to śledztwo, dlatego tutaj jesteś, jednak skoro nikt nie chce ci za nie zapłacić, nie podejmiesz tej rzuconej rękawicy. A co do gazet... Widziałeś, co dziś napisali w Echo Devstorn?

Detektyw pokręcił głową.

- A szkoda, bo pisali o tobie.
- Co konkretnie?
- Pisali o twojej rezygnacji ze śledztwa.
- Skąd wiedzieli?

– Nie wiem, może od Volantine'ów. Twoja sława cię wyprzedza, Morgan. Piszą o tobie nawet wtedy, kiedy nic nie robisz. Wszystko bowiem powoduje jakąś reakcję, nawet bezczynność.

Weller nie skomentował. Spojrzał w dół cmentarzyska. Mała trumienka znajdowała się już w równie niewielkim grobie. Elisa Volantine zemdląca. Trzymać musieli ją Julian oraz jego brat, Nigel, który ze względu na treści pogróżek od Kojota również znajdował się w gronie podejrzanych.

Duchowny kontynuował ceremonię pogrzebową:

– Choć żyłeś na tym świecie o wiele za krótko, my nigdy cię nie zapomnimy. Obyś znalazł miejsce u boku Stwórcy.

Żałobnicy pochyłili głowy. Uczyniło to nawet kilku policjantów.

– Zrobiono w ogóle sekcję zwłok? – mruknął Morgan.

– Oczywiście – odetchnął Viktor – ale nie zamierzam zdradzać ci jej szczegółów ani wyników.

– Nie oczekuje tego od ciebie.

Komisarz uśmiechnął się półgębkiem.

– Tak, ty nigdy o nic nie prosisz. A teraz wybaczone, zdaje się, że pogrzeb dobiegł końca, więc muszę jeszcze przepytąć kilku członków rodziny. Do zobaczenia.

Morgan po raz ostatni objął wzrokiem wszystkich zgromadzonych. Miał nadzieję, że uda mu się zauważyć coś podejrzanego, jakiś niestosowny co do okazji uśmiech, tajemniczy gest ręki symbolizujący współnictwo, krzywe spojrzenie. Przeliczył się tym razem.

•

Obudziło go głośne pukanie do drzwi. Morgan niechętnie podniósł się z łóżka, wsunął na nogi ciepłe, wełniane kapcie, zarzucił granatowy szlafrok i zszedł na dół, gdzie znajdowało się jego biuro, skąpane jeszcze w półmroku poranka. Mijając stojący w rogu pokoju zegar, spojrzał na godzinę. Było kwadrans przed siódmą.

Chociaż minęła już dłuższa chwila, Weller miarkował, że ów ktoś nadal stoi pod drzwiami. Nie mylił się – w utwierdzeniu tym przekonała go kolejna seria stuknięć.

Detektyw otworzył drzwi.

Przed sobą ujrzał młodego mężczyznę w gładkiej bordowej kamizelce, częściowo skrywającej pstrokaty, fularowy krawat, sięgającym połowy ud czarnym płaszczem i skórzanym szarym berecie.

Nieznajomy spojrział na niego swoimi badawczymi zielonymi oczyma.

– Martin Ludger. – Gładysz wystawił rękę.

Morgan uściskał ją niepewnie. Odchrząknął.

– Morgan Weller. W jakiej sprawie?

– To pan jest tym słynnym detektywem?

– W jakiej sprawie? – powtórzył śledczy, przewracając oczami, jakby się boczył.

– Przepraszam. Pisuję dla Echa Devstorn. Czy mógłbym zadać panu kilka pytań?

– Ach – zachnął się Morgan, krzyżując ręce na piersi – więc to wy z góry założyliście, że porzucam sprawę Volantine'ów?

Martin Ludger pospiesznie sięgnął po notes i podręczne piórko. Był gotów nasłuchiwać z zaciekawieniem i spisywać niemal każde słowo znanego w całym mieście detektywa.

– A jest tak? – mruknął dziennikarz, skrobiąc drobno kolejne wyrazy.

– O tak – ferował Morgan z egzageracją – ta sprawa, jak zapewne wiecie, panowie dziennikarze, jest już w rękach innego detektywa, niejakiego Augusta Folstona. Volantine'owie wynajęli go zamiast mnie. Czy to koniec mojej kariery? A niech to!

– Mówi pan poważnie, panie Weller? Czy naprawdę porzuci pan to śledztwo?

Morgan zasępił się wyraźnie. Miał już dość przesadnie kurtuazyjnego galanta, który tylko szukał taniej sensacji.

– Proszę pana?

Detektyw nie powiedział ani słowa. Odsunął się, niknąc w cieniu kleci, po czym bez zbędnych ceregieli zamknął za sobą drzwi. To był koniec wywiadu.

– O tej sprawie będzie głośno w całym Devstorn – usłyszał zza drzwi. – Chcę relacjonować prowadzoną przez pana kwerendę, a nie pisać, że wycofał się pan z gry.

Przez pół dnia zastanawiał się, czy dobrze postąpił porzucając śledztwo. Wielu mieszkańców miasta pokładało w nim nadzieje. Morgan Weller, człowiek, który rozwiązał już dziesiątki, jeśli nie setki podobnych spraw, tak po prostu odpuścił? Żle się to odbijało na jego

wizerunku i dobrze o tym wiedział. Z chęcią włączenia się w rozwikłanie tej zagadki kontrastował fakt, że nikt mu nie zapłacił, a przecież Weller działał na zasadzie zleceń.

Płacisz, a ja odnajduję bliską ci osobę, pomyślał. Płacisz, a ratuję z opresji twoją żonę, ojca, syna czy brata. Czasami płacisz, bym odnalazł zwłoki. Nie płacisz, więc nie robię nic.

Około południa zapukało do niego jeszcze dwóch dziennikarzy. Morgan nie miał ochoty z nimi rozmawiać, toteż nawet nie wstał od biurka. Przypomniawszy sobie słowa poprzedniego żurnalisty, który rankiem pojawił się pod drzwiami gabinetu.

„O tej sprawie będzie głośno w całym Devstorn”.

Chcę w tym uczestniczyć, uświadomił sobie, po czym około godziny czternastej pospiesznie opuścił biuro i udał się raz jeszcze na miejsce, gdzie znaleziono zwłoki sześciolatniego dziecka. Wiedział, że tego dnia policja miała próbować odtworzyć hipotetyczny bieg wydarzeń.

Miał wrażenie, że ktoś go śledzi, lecz szybko zaszufładował to uczucie jako nieistotne. W tej okolicy był powszechnie znany, toteż przyglądać mu się mógł zupełnie każdy.

Kiedy dotarł na miejsce, spostrzegł, że policja wciąż prowadzi swoje badania. Używając kukły o podobnej wadze, co hipotetycznie porwane i utopione dziecko, funkcjonariusze starali się odtworzyć potencjalny bieg wydarzeń i ustalić, gdzie tak naprawdę mogło dojść do morderstwa.

Detektyw chcąc nie chcąc spotkał się z Viktorem Kandlehoferem.

– Morgan? – zdziwił się komisarz, odchodząc na kilka kroków od grupy podległych mu śledczych. – Co ty tutaj robisz? Myślałem, że na dobre porzuciłeś tę sprawę.

– Chciałbym – wycedził Weller – ale głodne sensacji i informacji pismaki nie dadzą mi spokoju.

– Cóż... zawsze możesz żądać pieniędzy tylko pamiętaj, że wyjawianie poufnych i kluczowych dla śledztwa danych jest karalne.

– Pamiętam. Zresztą co to za poufność? Badacie to miejsce, a tam na balkonie zamtuza stoi pięć bab, które co noc siadają na kolanach dziesiątce marynarzy. Ostatnio nawet usłyszałem famię, podług której dziecko w kierunku miasta wypłuł wieloryb.

Komisarz pokręcił głową.

– Czasem brakuje mi na ciebie słów, przyjacielu.

Morgan wzruszył ramionami.

– Lepiej powiedz mi, co ustaliłeś?

- Tylko pod warunkiem, że naprawdę zaangażujesz się w sprawę.
- Jeszcze nie zdecydowałem.
- Obiecaj. – Viktor przeszył go lodowatym spojrzeniem.

Morgan kątem oka dostrzegł kolejną grupę dziennikarzy, która na miejscu opisywała poczynania policji. Poczul na sobie ich spojrzenia. Kiwnął głową, dając komisarzowi odpowiedź.

– Nie zawieź mnie – podsumował śledczy. – Dobra, no to przejdźmy do szczegółów. Dziecko utopiono prawdopodobnie o tam, za zakrętem, gdzie leży kładka łącząca Dzielnice Żabojadów z resztą miasta. Morderca musiał być szybki, chociaż nie wiemy, czy mordował na miejscu, czy jedynie pozbywał się ciała. Próbujemy to ustalić, choć skłaniamy się ku pierwszej z opcji. Wiesz, porwanie porwaniem, ale trudno byłoby zabić dziecko w centrum miasta, a potem przetransportować zwłoki niczym worek kartofli. Jest tylko jeden ambaras...

– Jaki?

– Wczoraj wieczorem opublikowano szczegółowe wyniki sekcji zwłok – westchnął komisarz, sięgając po cygaro. – Okazało się, że dziecko w chwili śmierci nafaszerowane było opium. Wiesz co to oznacza?

Morgan skinął głową.

– Nie czuło bólu, nie krzychało i... nie broniło się.

– Niezależnie od tego, czy ten zbrodniarz zamordował je w okolicy kładki, czy przywłókł tu jedynie zwłoki, nie musiał się zbytnio trudzić. – Viktor zaciągnął się cygarem – Wrzucił dziecko do kanału, a potem czym prędzej zwiął.

Detektyw mimowolnie popatrzył w kierunku ubogiej i gęsto zabudowanej Dzielnicy Żabojadów.

– Miał więc dwie drogi. Albo wrócił do portu, albo skrył się w enklawie, do której policja nigdy nie zagląda.

Kandlehofer splunął siarczyście w kierunku w większości drewnianej, szarej dzielnicy.

– Może tak być, ale jest coś jeszcze...

Morgan rzucił mu powłóczyście spojrzenie.

– Wiesz – ciągnął komisarz – kto w naszej historii raz po raz zażywa opium? Nie zgadniesz. Elisa Volantine skarżąca się na częste migreny. A wiesz, co się z nią stało? Została aresztowana na wniosek tego, któremu wraz z mężem zapłaciła za zbadanie sprawy.

– August Folston – wymruczał detektyw.



– Zgadza się.

– Zabiła własne dziecko? – Morgan nie krył zdziwienia. – Ale przecież na pogrzebie...

– Na razie nic nie jest pewne. Musimy za wszelką cenę ustalić, kim jest tajemniczy Kojot i jaką rolę w tym wszystkim odgrywa. Dziś poznasz szczegóły planu, o którym ci już wspominałem. To będzie długi wieczór...

•

– Zadanie jest proste – tłumaczył komisarz, krocząc wzdłuż linii ustawionych wcześniej szkolnych ławek. – Ja będę wam dyktował treści pogróżek, jakie Elisa i Julian Volantine'owie otrzymywali na przestrzeni ostatnich sześciu miesięcy...

Morgan miał okazję przypatrzeć się rodzinie Volantine'ów i Fovlerów. Ci drudzy pochodzili ze strony matki zamordowanego dziecka. Tak z domu nazywała się Elisa. Fovler. Zgromadzonych ludzi było około dwudziestu.

Morgan doliczył się dwudziestu jeden, choć czuł, że mógł się pomylić. Skupiony był bowiem na słowach Viktora Kandlehofera.

– Wy natomiast będziecie je skrupulatnie zapisywać. Co do słowa. Radzę się skupić.

Weller zauważył, że w sali zjawił się też August Folston, detektyw, który zamiast pomóc, tylko pograżył rodzinę Volantine'ów, wpędzając Elisę do aresztu, jak sądził – słusznie.

– Coś się panu nie podoba, panie Nigel? – zapytał komisarz, widząc kapryśny wyraz twarzy jednego z podejrzanych.

– Tak – burknął brat Juliana Volantine'a. – Zastanawia mnie, co ja tu właściwie robię? Alibi potwierdziło, że jestem niewinny, a poza tym naprawdę sądzicie, że mógłbym zamordować dziecko mojego brata?! – Mężczyzna uniósł się z miejsca, co wzbudziło reakcję strażników, którzy ostrożnie zbliżyli się do niego. – Odpowiedzcie!

– Usiądź, Nigel – wydukał Julian, nie obracając się w stronę stojącego za nim brata. – Proszę cię, usiądź i poddaj się testowi.

– My nie mamy z tym nic wspólnego. U Fovlerów sobie winy szukajcie!

– Panie Volantine! – Viktor podniósł głos. – Proszę wrócić na miejsce.

– O co mnie oskarżacie, co? Macie jakieś dowody?!

– Od teraz każde kolejne słowo może się obrócić przeciwko Panu.

– Macie podejrzenia?! Porozmawiajmy! Powiedz coś, człowieku!

– Tak, mamy podejrzenia! – wykrzyczał komisarz. – Wiemy, że jako jedyny opiekowałeś się chorą matką. Wiemy, że Julian ci w tym nie pomagał. Osoba, która wysłała pogróżki właśnie to mu zarzuca. Oprócz tego nieprzychylnie odnosi się do awansu, jaki pan Julian Volantine zdobył po dziesięciu latach pracy w fabryce...

– I że niby ja mam z tym coś wspólnego?! To jakaś kpina!

– Nigel, siadaj do cholery! – Julian uderzył pięścią w stół, co ostatecznie uciszyło starszego brata. – Chcę mieć to za sobą. – Położył dłoń na zaciśniętej pięści żony, głównej oskarżonej, która siedziała w oddalonej o metr ławce. – Chcę znać prawdę.

Jedno było pewne – para pomimo tego wszystkiego kochała się nad życie, zaś Julian Volantine bez wątpienia wierzył w niewinność swej partnerki. Nikt nie odważył się przerwać łączącego kochanków uścisku dłoni.

– Dziękuję, panie Volantine – powiedział Viktor nieco zmieszonym głosem.

Funkcjonariusze posadzili Nigela z powrotem na miejsce. Rozpoczęła się próba pisma. Komisarz zaczął dyktować treści pogrózek. Pisali wszyscy, bez wyjątku, a ich reakcjom przyglądali się ludzie Kandlehofera; policjanci oraz śledczy.

Morgan zauważył, jak z prawej strony zmierza ku niemu August Folston.

– Do czego to doszło – zaczął, nie bacząc na to, czy Weller ma ochotę na pogawędkę. – Albo ktoś bardzo chce skłócić tę nieszczęsną rodzinę, albo morderca rzeczywiście kryje się pośród nich.

– Ty już go chyba wskazałeś. Morderczynię. Czego ode mnie chcesz?

August, mężczyzna o bladym, smukłym licu i krystalicznie błękitnych oczach uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami. Pełnym gracji ruchem ręki poprawił zaczesane na bok czarne jak noc włosy. Wyglądał na szczupłego, młodego mężczyznę.

– Wiem, że zaangażowałeś się w śledztwo – syknął Folston. Na jego twarzy wymalował się zmiłowaty uśmieszek. – Ciekawe, w gazetach pisali, że nie pracujesz za darmo.

– Ponowię pytanie – sapnął Morgan – czego ode mnie chcesz?

– Skoro zajmujemy się tą samą sprawą, moglibyśmy wymieniać się spostrzeżeniami, prawda?

– Nie widzi mi się to.

– No tak, dobrze mówili, że wolisz działać sam.

– O tobie zaś niewiele słyszałem. – Weller spojrzał na niego pogardliwie. – Co z ciebie za prywatny detektyw? Wpakowałeś za kratki własną zleceniodawczynię.

– Ty nie postąpiłbyś tak samo? – zdziwił się August, lecz szybko stłumił to uczucie. Palcami dłoni przeczesał jeden z bujnych bokobrodów. – Być może nigdy nie znajdowałeś się w takiej sytuacji. Nigdy też zapewne nie sądziłeś, że zleceniodawczyni może być równocześnie morderczynią sześciolatniego dziecka. A jednak. Świat lubi nas zaskakiwać, druho, a ludzie bywają nieprzewidywalni. Ludzka natura jest obiektem mojej fascynacji...

– Nie masz pewności, że Elisa Volantine zabiła własnego syna. Opium na ból głowy to za mało... A poza tym nie nazywaj mnie „druhem”.

Młodszy z detektywów uśmiechnął się zjadliwie.

– Dlatego tu jestem. Ta próba pisma może przynieść nowe wątki w sprawie. Ja nie mogłem ominąć takiego wydarzenia. A ty? Dlaczego tu jesteś? Wszakże nikt ci nie płaci za rozwiązywanie tej zagadki.

– Nie twoja sprawa – burknął detektyw, odwracając wzrok.

– Lubisz rywalizować?

– Co?

– Rywalizować. Tak jak się rywalizuje o miejsce na podium.

Nagle Viktor klasnął w dłonie, a jego podopieczni zebrali od członków rodziny ich dyktanda. Rodzina wstała i udała się do wyjścia. Ruszyli wszyscy oprócz Elisy i Juliana Volantine'ów, którzy stojąc na środku sali patrzyli sobie głęboko w oczy. Pani Volantine uroniła łzy.

– Za niespełna miesiąc odbędzie się bankiet w rezydencji hrabiego Benjamina Lindholma – podjął Folston, drapiąc się po potylicy i nieco niszcząc ułożone na bok włosy. – Żywię nadzieję, że dostałeś zaproszenie.

Morgan nie odpowiedział. Patrzył na smukłą twarz swego konkurenta, do którego szacunek stracili ostatnio nawet jego mocodawcy.

– Przyjdź, Morgan. Porozmawiamy o śledztwie. Wiesz, okoliczności będą bardziej sprzyjające.

– Bankiety to niezbyt dobre miejsce do takich rozmów...

– Oj, nie bądź taki sztywny. – August pokazał białe jak śnieg zęby. – Gramy w tej samej drużynie. Po prostu bądź tam. W przeciwnym razie sprawisz hrabiemu Lindholmowi ogromny zawód, a wszyscy wiemy, jak bardzo cię ceni.

Po tych słowach ubrany na czarno detektyw wyslizgnął się z sali niemalże bezszelestnie. Morgan nie odprowadził go wzrokiem. Przyglądał się tragicznej parze kochanków.

– Nie zostawisz mnie? – zapytała zapłakana Elisa Volantine. – Powiedz, że mnie nie zostawisz...

– Nie zostawię – odparł Julian, patrząc jej w oczy. Dłonie oparł na jej ramionach. – Nie zostawię, słyszysz?

– Nie zabiłabym naszego syna... – wyszeptała kobieta, lecz bardziej brzmiało to jak łamiący się głos lub wysuszone gardło. – Nie zrobiłabym tego... Wiesz o tym...

– Wiem. Nie martw się, to tylko chwilowe.

Funkcjonariusze stanęli za plecami zdruzgotanej kobieciny.

– Pani Volantine – powiedział jeden z nich. – Proszę się pożegnać z mężem.

– Musisz już iść – wydukał Julian. Morgan zauważył, że młodemu mężczyźnie drżą ręce. – Niebawem znów się spotkamy.

Elisa rozpląkała się jeszcze bardziej. Czy ktoś zachowujący się w ten sposób mógłby zabić własne dziecko i sprowadzić na siebie tyle nieszczęścia? – zastanawiał się detektyw.

– Przyjdź do mnie... Potrzebuję cię... Julian...

– Przyjdę, jak dostanę pozwolenie.

Od chwili aresztowania kochankowie nie mogli się widywać. Było to kluczowe dla śledztwa. Policja podejrzewała, że na spotkaniach próbowaliby układać alibi, tworzyć sprzeczne wersje wydarzeń, konfabulować i mącić w zeznaniach, utrudniając tym samym pracę policji i smukłego, niebieskookiego detektywa, który skazał ich na nieszczęście. Obawa przed tym, że nie zobaczą się może i przez następne kilka miesięcy była w tym przypadku jak najbardziej uzasadniona.

– Kocham cię – powiedział Julian, muskając palcem lodowatą dłoń żony.

– Ja ciebie też – odpowiedziała roztrzęsiona Elisa, po czym oddała się w ręce policjantów.

Para wymieniła się długim, tragicznym i powłóczystym spojrzeniem. Żandarmi wyprowadzili panią Volantine. Jej mąż został sam, zmieszany, wyniszczony psychicznie i tłumiący w sobie wszelkie emocje.

Łączy ich prawdziwa miłość, pomyślał Weller. Bez dwóch zdań prawdziwa.



Po dwóch tygodniach policja przekazała Wellerowi wstępne wyniki analizy pisma członków rodziny Volantine'ów i Fovlerów, jednak te okazały się niejasne. Grafolodzy

trudzi się dniami i nocami, by wskazać osobę odpowiedzialną za wysyłanie pogroźek. Po analizie niewiele już wskazywało na to, że w istocie był to członek rodziny. Bezprawnym i mocno naciągającym byłoby przypisanie winy tylko na zasadzie podobieństwa. Śledczy potrzebowali konkretnego dowodu. Inaczej sąd uniewinniłby wskazanego przez nich sprawcę. Dowodu wciąż brakowało, a Elisa Volantine nadal nie opuściła aresztu tymczasowego.

Sprawa stanęła w miejscu, zaś dziennikarze rozpisywali się o teoretycznej nieudolności policji, skupiając się na obarczaniu winą komisarza Viktora Kandlehofera. Ich uwadze nie umknął także August Folston. Wskazanie przez niego swojej mocodawczyni jako potencjalnej podejrzanej trzy tygodnie temu okazało się istną sensacją i przysporzyło mu popularności.

„Gdzie jest detektyw Weller?”, „Co robi detektyw Morgan Weller?” – grzmiały nagłówki pierwszych stron gazet. Dziennikarze codziennie pukali do jego drzwi, a on nie otwierał, kryjąc się przed światem.

Tego dnia nie zapukał nikt z prasy, a ktoś, kogo detektyw nie mógł się spodziewać.

– Nie mam nic do dodania! – zawołał Morgan. Siedząc za biurkiem, przeglądał szczegółowe wyniki próby pisma. – Idź pan do Augusta Folstona! To on prowadzi śledztwo!

– Nie jestem z prasy – odezwał się głos zza drzwi – i nie przyszedłem pana indagować.

Weller podniósł wzrok. Wstał i zbliżył się do zasłon, którymi od wewnątrz przykrył szerokie okna swojego gabinetu. Odchylił jedną z nich, ukradkiem zerkając na nieznajomego.

– Nie jestem z prasy – powtórzył głos – ale mam dla pana informacje, które mogą przysłużyć się śledztwu.

Morgan otworzył w końcu drzwi.

Przed nim stanął niewysoki, drobny mężczyzna o bladej cerze i zimnych, wyrazistych oczach. Ubrany był w długi szarawy płaszcz podróżny. Na głowie zaś nosił kaptur. Nie wyglądał na mieszczanina, jak ocenił detektyw, a raczej na przyjeźdnego, o czym świadczyła przypięta do skórzanego paska kabza i wciśnięta za niego blaszana manierka. Ponadto Morgan zauważył wciąż przypięte do jego butów ostrogi. Nieznajomy musiał więc przybyć do miasta konno.

– Dlaczego więc nie pójdziesz z nimi na policję?

– Nie mogę powiedzieć – syknął częściowo zakrywający twarz chłopak. – Nie mogę też zdradzić swojej tożsamości, bo nie zależy mi na rozgłosie. Zresztą nie czas na wyjaśnienia. Czas na działanie

Detektyw milczał.

– Nie wszyscy zjawili się na próbie pisma – powiedział nieznajomy, ścisząc ton. – Zabrakło kuzynostwa Juliana Volantine’a i nikt tego nie zauważył.

Weller zmieszał się lekko.

– Skąd wiesz, kogo poddano badaniu?

– Imiona i nazwiska badanych są wymienione w prasie, której pan unika ostatnio jak ognia. Na liście brakuje trzech osób ze strony pana Volantine’a.

Morgan podniósł na niego wzrok.

– Mów dalej.

– Na dyktandzie nie pojawili się państwo Lapardowie, to znaczy ciotka Juliana oraz jej dzieci. – Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął z niej zwiniętą karteczkę, którą podał detektywowi. – Tutaj jest adres. Bednarska 47. To prawie na przedmieściach. Niech pan tam idzie i sprawdzi tych ludzi. Czuje, że mogą mieć coś wspólnego ze sprawą.

– Dlaczego mi pomagasz? – zapytał zaintrygowany detektyw. – Prowadzisz jakieś własne śledztwo? Jesteś kimś z rodziny?

Nieznajomy pokręcił przecząco głową.

– Mam nadzieję, że nigdy nie pozna pan mojej tożsamości. Wiązałoby się to... z pewnym ryzykiem, którego wolałbym uniknąć. A teraz muszę już iść. Zbyt wielu ludzi się nam przygląda, widząc pana w progu..

– Dlaczego mi pomagasz?

– Ktoś musi. – Młodzieniec wzruszył ramionami. – No i mam w tym swój cel.

•

Pani Lapard skończyła właśnie parzyć herbatę, po czym przeniosła filiżanki na przykryty białym obrusem stół.

– Ach, byłabym zapomniała... – Kobieta wytarła dłonie w szary fartuszek. – Nazywam się Abigail, nie wiem, czy pan wiedział.

Morgan uśmiechnął się serdecznie.

– Wiedziałem tylko, że mój stary przyjaciel jest żonaty, lecz nie znałem imienia jego wybranki. Bardzo mi miło. I przykro zarazem. Alfred był niegdyś moim druhem. Przybywając do Devstorn, sądziłem, że uda mi się z nim zobaczyć.

– Niestety, panie Overton...

– Wystarczy Arthur.

– Mój mąż zginął dwa lata temu – podjęła Abigail, upiwszy gorącej herbaty. – Fabryka, w której pracował, nawet nie raczyła nam wypłacić należytego odszkodowania, a przecież winna była wadliwa konstrukcja maszyny, do cholery! Och, przepraszam...

– Nic nie szkodzi. Rozumiem pani żal.

Oczy kobiety zielonym niebieskim blaskiem tęczy.

– Jest pan żonaty?

– Nie – zaprzeczył, pokręciwszy głową.

– Ach, w takim razie niewiele pan rozumie. Nie wie pan, jak to jest stracić bliską osobę... Jak to jest wychowywać samotnie dwójkę dzieci i całe dni spędzać w pracy. Od rana do wieczora.

Morgan wiedział doskonale, czym jest pustka, która ogarnia człowieka w momencie utraty bliskich. Jego rodzice zaginęli, kiedy ten był dzieckiem. Wychował się na farmie u stryja. Mimo to nie skomentował wywodu kobiety. Interesowało go coś innego – dzieci, bowiem kobiecina w żaden sposób nie zachowywała się podejrzanie.

– Przepraszam, słucha mnie pan?

– Tak, jak najbardziej. – Czoło detektywa zmarszczyło się. – Pani opowieść bardzo mnie poruszyła... Szkoda dzieci. Im zapewne też jest ciężko...

– Ech, jedno z nich i tak nie wie, co się dookoła dzieje.

Obraz niezrozumienia wymalował się na twarzy detektywa.

– Ciężko to opisać, panie Overton. Lepiej, jak sam zobaczysz. – Pani Lapard spojrzała w kierunku przejścia do drugiego pokoju. – Belindo, przyjdź tu na chwilę z Fergussem!

W prowadzącej do salonu ościeżnicy zjawiała się niewysoka, piegowata dziewczyna o malachitowych oczach i dwóch rudych warkoczach zakończonych kokardkami w kolorze dojrzałych chabrów.

Obok niej stanął przysadzisty, garbaty mężczyzna, właściwie kilkunastoletni chłopak o nad wyraz wydętym do przodu brzuchu, zapadniętej klatce piersiowej i wątłych ramionach. Morgan przyjrzał mu się z uwagą – czoło miał płaskie i cofnięte do tyłu, oczy podkrążone i głęboko utkwione, zaś jego nos wyglądał tak, jakby wielkością dorównywał zaciśniętej pięści dorosłego mężczyzny. Co się z kolei tyczy dłoni – te miał nieproporcjonalnie wielkie, szerokie i przywodzące na myśl dłonie goryla. Jednak najbardziej rzucającym się w oczy

elementem jego wyglądu była olbrzymia wysunięta do przodu szczęka. Człowiek ten na pierwszy rzut oka wyglądał jak potwór.

Trudno też było doszukiwać się w nim zachowań ludzkich. Morgan szybko zreflektował się, że ów mężczyzna jest chory na umyśle, bo choć prawdopodobnie miał około osiemnastu lat, to nadal zachowywał się jak dziecko – nie potrafił przeliść śliny, która spływała mu po podbródku, dłużył w nosie i charkał, a kiedy coś chciał, to pokazywał, zamiast mówić. Mimo tego detektyw dostrzegł w nim jakiś ilaraz ukrytej inteligencji, lecz nie wiedział czemu.

– To właśnie moje dzieci. Fergus i Belinda. Powód, dla którego wciąż żyję.

– Proszę tak nie mówić – powiedział kojąco Morgan. Tylko na tyle było go stać. Nigdy nie był dobry w pocieszaniu innych, zwłaszcza obcych mu osób.

– No, niech pan na niego spojrzy. Nie nadaje się do pracy, nie jest w stanie się sobą zająć i ciągle wymaga opieki...

– Mamo! – odezwała się rudowłosa dziewczyna. – Fergus nie jest beznadziejny.

– Córciu – westchnęła Abigail. – Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Morgan poczuł się niezręcznie.

– Słyszałem, że miastem wstrząsnęła śmierć kilkuletniego dziecka. – Spróbował zmienić temat. Mówiąc to, wodził wzrokiem po dzieciach pani Lapard. – To straszne. Kto odważyłby się zamordować sześciolatka? I za co?

– Tak, to prawda – zmieszała się gospodyni, kręcąc łyżką w filiżance herbaty. – Okropieństwo, tym bardziej, że dotknęło to moich krewnych.

Siedzący obok siostry Fergus poruszył się niespokojnie. Dziewczyna szturchnęła go pod stołem. Nie umknęło to uwadze detektywa.

– Krewnych? – Weller uniósł brew.

– Niestety. Moje dzieci to kuzynostwo do Juliana Volantine'a, ojca tego zamordowanego chłopca.

– W mieście mówi się, ten cały Julian otrzymywał jakieś listy z pogrózkami, albo coś takiego. Słyszałem też o co nieco o próbie pisma, która miała wyłonić potencjalnego sprawcę, prawda to?.

Abigail Lapard podniosła na niego wzrok. Spoważniała nagle.

– Myślę, że powinien pan już sobie iść – powiedziała z wymuszoną uprzejmością. – Odgrzebywanie rodzinnych spraw nie jest rzeczą, o której chciałabym rozmawiać z obcym.



Znał pan mojego męża. Mąż nie żyje. Ugościłam pana, ale nadwyreża pan moją gościnność. Proszę wyjść.

Intrygująca reakcja, pomyślał Morgan, lecz jeszcze ciekawszym zdawało się być zachowanie jej syna. Fergus stał się bardzo niespokojny, mamrotał coś pod nosem, chrząkał i bujał się na krześle. Swój szeroki podbródek usilnie wbijał pomiędzy obojczyki. Uspokoić go próbowała siostra.

– Co z nim? – zapytał Weller, ignorując to, co przed momentem powiedziała mu pani Lapard.

– Nic. Ma atak paniki. To minie.

– Nie wygląda jak atak paniki, tylko złości.

Chłopak jednym energicznym ruchem ręki zrzucił ze stołu porcelanową filiżankę, która rozbiła się, brudząc herbatą terakotową podłogę.

– Belindo, zabierz go do pokoju – wołała Abigail – a pan niech już stąd idzie, do jasnej cholery! No, już!

Nic tu po mnie, pomyślał detektyw. Lapardowie zachowują się nad wyraz podejrzanie, a nie zostali poddani próbie pisma. Czy było to spowodowane brakiem hipotetycznego motywu, czy założeniem, że chory na umyśle Fergus i przesiadująca z nim w domu siostra nie mogłyby zabić Dorianą Volantine'a? Alibi ich matki mogła być z kolei praca. Mimo to Viktor powinien to sprawdzić, raz jeszcze przebadać, gdzie w tym czasie była cała trójka Lapardów i ustalić wreszcie, co się tu do cholery dzieje.

•

– Mówisz poważnie? – zapytał Viktor, kiedy Weller skończył relacjonować wizytę w domu Lapardów. – I ten cały...

– Fergus.

– Fergus. Myślisz, że mógłby być w to zamieszany? Niepełnosprawny chłopak?

Morgan przesunął dłonią po ufrizowanych włosach. Wypuścił powietrze ustami.

– Właściwie mężczyzna. Trudno było ocenić jego wiek ze względu na to, jak wyglądał, lecz wydawał mi się być pełnoletni. Abigail i jej córka ledwo dały z nim sobie radę.

– Cholera. – Komisarz odwrócił głowę. – Rzeczywiście, nie poddaliśmy ich próbie pisma. To było zwykłe przeoczenie, zapewniam.

– Więc wypadaloby to sprawdzić.

– Dobrze – odpowiedział Viktor po chwili namysłu. – Lapardowie jeszcze dziś stawią się w areszcie. Ponownie też sprawdzę ich alibi, a swoim ludziom polecę przepytanie świadków, przyjaciół rodziny, znajomych...

– Z tymi pierwszymi może być problem – przerwał mu detektyw, po czym kontynuował, widząc jego niezrozumienie: – Belinda i Fergus raczej nie trzymają z rówieśnikami, a pani Lapard pracuje całymi dniami.

Kandlehofer wzruszył ramionami.

– Trudno. Zostają znajomi. Kierownik fabryki, piekarz, doktor badający sprawę tego...

– Fergusa.

– Właśnie. Dobra, zajmę się tym, bo wierzę twoim rewelacjom. Wierzę, że jako profesjonalista wyczuwasz podstęp na milę.

– Dzięki. – Morgan wstał z krzesła, po czym przyodział szapoklak. – Jeśli się czegoś dowiesz, daj mi znać.

Viktor również podniósł się z miejsca.

– Pewnie. Możesz być o to spokojny. Mam nadzieję, że dzisiejsze prace przyniosą efekty, a najpóźniej pojutrze okaże się, czy twoje przypuszczenia były słuszne.

Komisarz jak zapewnił, tak zrobił i tego samego dnia rozesłał swoich ludzi. Cześć z nich miała za zadanie sprowadzić Lapardów na testy grafologiczne oraz ponowne przesłuchanie, inni z kolei indagowali osoby z najbliższego otoczenia Abigail Lapard i jej córki, między innymi kierownika zmiany i pracowników, znajomych, koleżanki z klasy Belindy Lapard, sąsiadów i sąsiadki, w tym panią Enovett, seniorkę, która zajmowała się Fergusiem, gdy nastolatka wychodziła rano do szkoły. Funkcjonariusze pytali o jeden dzień – dwudziesty siódmy października – oraz o to, co mogła robić wtedy cała trójka Lapardów.

Wyniki szczegółowej kwerendy znane już były popołudniu dnia następnego.

Ponowne przesłuchanie Abigail Lapard oraz rozszerzenie jej alibi o relacje większej ilości świadków wykazały, że w dniu zaginięcia i śmierci Dorian Volantine'a kobieta rzeczywiście przebywała w pracy, a rozpoczynała ją w momencie uniemożliwiającym jej jednoczesne pojawienie się w fabryce i uprowadzenie oraz zabicie sześciolatka.

Zgoła inaczej wyglądała teraz sprawa jej dzieci. O ile Fergus nie był w stanie powiedzieć zbyt wiele, o tyle Belinda była przesłuchiwana przez trzy godziny, jako że według relacji uczniów z jej klasy w piątek dwudziestego siódmego października nie pojawiła się w szkole.

Niepewnie potwierdziła to też pani Enovett – starsza sąsiadka wyznała, że tamtego dnia Belinda nie przyprowadziła do niej Fergusa Śledczy nakazali nastolatce złożyć ponowne wyjaśnienia.

Przestraszona dziewczyna zeznała, że tamtego dnia ktoś zapukał do drzwi ich domu, choć leżąc na łóżku myślała, że to sen. Był wczesny poranek, a ona spała twardo, więc drzwi nieznanemu otworzył jej brat Fergus. Kiedy się obudziła, chłopaka nie było w mieszkaniu, toteż odpowiedzialna za niego siostra zamiast udać się do szkoły, przerażona i skołowana wyszła na poszukiwania.

Viktor Kandlehofer zadał jej jeszcze jedno pytanie.

– Gdzie znalazłaś Fergusa?

Belinda nie odpowiedziała. Wzrok miała spuszczonego

– Czy mogło to być gdzieś w porcie?

Słowom komisarza sprzeciwił się jeden z biegłych, twierdząc, że jest to sugerowanie odpowiedzi.

Viktor zapytał ponownie, lecz nieco inaczej.

– Skąd wiedziałaś, gdzie go znajdziesz?

Na to pytanie panienska odpowiedzieć nie umiała.

– Bałam się – wyznała po długiej przerwie. – To było takie instynktowne i nie wiem, jak to się stało, że znalazłam Fergusa. Nie pamiętam.

– Instynktowne? – zdziwił się komisarz.

– To słowo idealnie opisuje moje tamtejsze działania.

Zaczęto podejrzewać, że dzieci Abigail Lapard rzeczywiście mogły się wtedy znaleźć w porcie, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy do Kanału Departańskiego wrzucono zwłoki Doriany Volantine’a.

Rodzeństwo zostało aresztowane.



Rezydencja hrabiego Benjamina Lindholma zaliczana była do grona kilkunastu najbogatszych posiadłości w mieście. Znajdowała się w północnej części Devstorn, gdzie mieściły się domy zamożnych mieszczan, kupców trudniących się handlem dalekomorskim, ludzi zaprzyjaźnionych z dworem czy innych znanych dostojników.

Karoca podjechała pod bramę rezydencji, która mieściła się przy ulicy Kryształowej. To właśnie tutaj przed laty działał owiany złą sławą Rzeźnik, który za swój cel zwykle obierał młode arystokratki, bogate kurtyzany lub też żony snobistycznych magnatów mieszkających w okolicy. Wokół owego mordercy narosło wiele legend. Mówiło się, że w ciągu trzech lat zdołał on pozbawić życia aż czterdzieści sześć kobiet, bestialsko rozpruwając im brzuchy, łona oraz wyciągając wciąż bijące serca z ich klatek piersiowych. W końcu wpadł, a jego prawdziwą tożsamość znali dziś niektórzy ze starszych policjantów, w tym komisarz Kandlehofer, oraz Morgan Weller – człowiek, który mocno przyczynił się do ujęcia bestii.

Detektyw wysiadł z powozu i powolnym krokiem ruszył w stronę leżącej na niewielkim wzgórku rezydencji. Szedł udeptaną drogą, mijając rozległe ogrody, lodowate posągi kariatyd, faunów i sylwanów. Wszystkie trzy elementy charakterystyczne były dla kultury Murecji, państwa leżącego na południe od Saveonu.

Morgan zbliżył się do oświetlonego wejścia, wokół którego zgromadziło się kilku ludzi, głównie mężczyzn, którzy palili cygara, rozprawiając o polityce, pozycji króla Eduarda i sprawie niewolnictwa, coraz częściej przenoszanej na salony.

Weller minął ich szerokim łukiem. Nie miał ochoty na tego typu dysputy. Był prywatnym detektywem. Dla niego liczyły się sprawy, które rozwiązywał, i wynagrodzenia, które otrzymywał. Nic więcej.

Nie zjawiłby się na balu u hrabiego Benjamina Lindholma, gdyby nie postawa Augusta Folstona, który zachęcił go do przyścia. Morgan chciał się dowiedzieć więcej o młodszym stażem detektywie. Wiedział, że Elisa Volantine wcale nie musi być winna śmierci swojego syna. Lapardowie zostali aresztowani, a on miał nadzieję, że śledztwo wkrótce dobiegnie końca. Wówczas znów stałby się tym, który rozwiązał sprawę.

Przecież opium podaje się też niektórym chorym ludziom, pomyślał. Fergus miał ataki niepokohowanej agresji. Być może Abigail faszerowała go narkotykiem, by uspokajać chłopaka. Cóż, sprawdzi to policja.

Tylko dlaczego Fergus miałby zabić syna swojego kuzyna i zarazem dalekiego krewnego? – tego Morgan pojąć nie mógł.

Hol mienił się złotem i blaskiem zawieszonych pod kasetonowym sufitem żyrandoli, z których zwisały lśniące brylanty. Wszędzie wokół znajdowali się ludzie, a wśród nich odziani w czarne fraki i białe żaboty mężczyźni oraz ich dostojne damy w rozkloszowanych

beżowych czy pudrowo różowych sukniach i wymyślnych fryzurach, którym Morgan, jak zwykle, przyglądał się z dozą ekscytacji.

– Detektyw Morgan! – zawołał mężczyzna w zdobionej cekinami, atlasowej kamizelce. – Niezmiernie mi miło, że raczyłeś przyjść.

– Dziękuję za zaproszenie, hrabio. Jeśli chodzi o ostatni z bankietów to...

– Ach, nie ma o czym mówić. Miarkuję, że pewnie byłeś zajęty uganianiem się za kolejnym łotrem.

Hrabia Benjamin gestem ręki przywołał do siebie jedną z dam. Odziana w przepiękną, muślinową suknie kobieta podeszła krokiem pełnym gracji. Na głowie miała tiulową woalkę, przykrywającą spięte w kok jasne włosy, na palcach pierścienie i bursztynowe sygnety, zaś tym, co najbardziej przykuło uwagę detektywa była diamentowa kolia zawieszona na smukłej szyi młodej arystokratki. Morgan doliczył się co najmniej dziesięciu kamieni. Szybko też odwrócił wzrok, nie chcąc zostać oskarżonym o nadmierne wpatrywanie się w wyeksponowany gorsetem biust urodziwej panienki.

– To jest Aurora Marie Jennigis, córka hrabiego Desmonda Jennigisa, znanego na cały świat producenta broni palnej i materiałów wybuchowych. Kochanie, to jest z kolei słynny detektyw Morgan Weller, człowiek, który rozwiązuje sprawy z pozoru nie do rozwiązania.

Dama o porcelanowej cerze i twarzy smukłej jak u sarny wyciągnęła rękę w kierunku niższego stanem mężczyzny. Weller z uniżeniem ucałował filigranową, choć ciężką od pierścieni dłoń arystokratki.

– Pan detektyw w swojej karierze schwytał lub powstrzymał wielu groźnych przestępców. To dzięki niemu Rzeźnik z ulicy Kryształowej trafił na szafot.

– Bardzo miło mi pana poznać, panie Weller – odezwała się kobieta melodyjnym altem.

– I mnie jest miło, pani.

– Nie ukrywam, moja droga, że bardzo fascynuje mnie postać naszego gościa – ciągnął Benjamin, wyraźnie gestykulując i akcentując każde ze słów. – Chętnie posłuchałbym o kulisach twojej pracy, przyjacielu.

– Nie ma w tym nic fascynującego, hrabio – orzekł Morgan, siłąc się, by jego słowa nie zabrzmiały niestosownie. – W większości żmudnie badam miejsca morderstw lub ewentualnie uganiam się za kimś w jakiejś ciemnej uliczce.

– Ha, ha! Wybornie! Mówisz o tym tak, jakbyś był bohaterem jakiejś ciekawej lektury.

Ale naprawdę tak jest, pomyślał Weller, lecz nie odważył się zaoponować hrabiemu.

– O, przyszli już państwo Alistonowie. Kochanie, czy raczyłybyś ich powitać?

– Oczywiście – odpowiedziała kobieta. Odchodząc, rzuciła detektywowi powabne spojrzenie swych błękitnych oczu.

– To twoja nowa żona, hrabio?

– Tak jest. – Hrabia uśmiechnął się z dumą, odprowadzając wzrokiem kilkanaście lat młodszą od siebie partnerkę. – A o co chodzi?

– Mogę wiedzieć, co stało się z poprzednią?

Pulchny hrabia Benjamin zdziwił się nieco, lecz już po chwili słodki uśmiezek ponownie zagościł na jego twarzy.

– Ależ to żadna tajemnica. Helena i jej ojciec spiskowali przeciwko mnie. Próbowali przejąć mój majątek, wyobraź sobie. Na szczęście jedna z pokojówek okazała się wierniejsza niż własna żona i powiedziała mi o wszystkim. Mogłem więc w porę zareagować. No, ale dość o tym. Nie chcę sobie psuć humoru.

– Racja, proszę wybaczyć mi śmiałość.

– Ty po prostu przyzwyczyłeś się do zadawania pytań – stwierdził hrabia, łącząc za plecami dłonie. – A teraz raczysz wybaczyć. Mam też innych gości do powitania. Liczę, że uda nam się jeszcze porozmawiać. Tymczasem baw się, drogi przyjacielu.

Choć nie był przyzwyczajony do bankietów, bali i rautów, starał się wtopić w tłum, tańczyć, jeść i razem z innymi gośćmi wznosić symboliczne toasty. Rozglądał się za Augustem Folstonem, którego nigdzie nie mógł znaleźć. W międzyczasie dostał kolejne zaproszenie do zatańczenia walca. Zachęcał go wicehrabia Delvyn Aliston, który gotów był oddać mu własną żonę, niezbyt atrakcyjną matronę o okrągłej twarzy i włosach ułożonych w dwa sięgające łopatek warkocze, w które wcześniej wpleciono czerwone kwiaty róż. Sam arystokrata odszedł z sięgającymi po cygara mężczyznami.

Po skończonym tańcu Morgan stanął nieopodal przepelnionego jedzeniem stołu.

– Większość trafi do świń – mruknął sam do siebie – a biedota w mieście na obiad spożywa żaby...

– Świat nie jest sprawiedliwym miejscem – odezwał się August Folston, który niczym duch wyłonił się zza jednej z kolumn. – Jedni świniom rzucają kawior, zamorskie owoce i ostrygi, inni jedzą żaby i karaluchy.

Morgan obrócił się w kierunku rozmówcy.

– Gdzie byłeś? – zapytał bezceremonialnie. – Wszędzie cię szukałem.

August, człowiek o smukłej twarzy i gadzim spojrzeniu uśmiechnął się paskudnie.

– Zaiste, to duża posiadłość. Ja zaś preferuje miejsca, gdzie można w spokoju porozmawiać. Miejsca, gdzie nikt nie podrzuci ci do tańca opasłej wicehrabiny.

– Da się tu znaleźć takie miejsce?

– Naturalnie. Chodź ze mną.

– Gdzie? – Morgan nie poruszył się.

Folston przewrócił oczami.

– Musisz być taki podejrzliwy? Wszakże stoimy po tej samej stronie. Razem idziemy tropem Kojota, z tym że czasem jedno z nas wysuwa się na prowadzenie.

– Tak? To kto teraz prowadzi?

Młodszy z mężczyzn uśmiechnął się tajemniczo.

– To chcę właśnie omówić.

Uległ namowom Augusta i udał się wraz z nim do wschodniej części bogatego w złoto, srebro i adamaszki kompleksu. Detektywi weszli do przestronnej, prawie pustej komnaty, w której pod ścianami ustawiono mahoniowe szezlongi o pikowanych czerwonych tapicerkach. Kawalek dalej znajdował się szeroki kominek z białego kamienia, w którym płonęło drewno, ogrzewając całe pomieszczenie. Na środku sali stał z kolei stół wypełniony wszelakimi rodzajami trunków i afrodyzjaków.

– Oho, zdaje się, że komuś przeszkadzamy – syknął Folston, widząc obściskującą się w rogu parę. – To nic, siądźmy przy kominku. Napij się czegoś? Są tu mocniejsze trunki niż to, co podają na sali balowej.

– Właściwie...

– Och, nie próbuj odmawiać. Jedna lampka wytrawnego szampana ci nie zaszkodzi.

August podał przygotowane wcześniej pucharki.

– Tutaj siedziałeś?

– Tak, dokładnie. Towarzyszyło mi kilku mniej lub bardziej znanych ludzi.

Morgan raz jeszcze spojrzął w kierunku odurzonej alkoholem pary kochanków.

– I też oddawałeś się tego typu chwilom? Ten pokój służy chyba jako ustronne miejsce.

– Morgan, czyżbym aż tak bardzo cie interesował? – August uśmiechnął się zawadiacko. – Ja zamiast kobiet wolę odkrywać stany, które dla naszego mózgu są zwykle nieosiągalne.

– O czym ty pleciesz?

Folston sięgnął do kieszeni i pokazał mu woreczek z ciemnobrązowym proszkiem.

– Opium – zauważył detektyw. – Nie, nie zamierzam brać.

– Każdy tak zwykle mówi. – Młodszy mężczyzna wzruszył ramionami. – Dobra, ale nie jestem tu, by cię namawiać. Mieliśmy porozmawiać o śledztwie, ale zanim... Twoje zdrowie, detektywie!

Mężczyźni napili się słodkiego, powodującego uczucie swędzenia w gardle szampana. Tymczasem zostali przyuważeni przez parę kochanków, która właśnie skończyła swe niewinne igraszki. Młoda kobieta, której kok już dawno się rozpadł, poprawiła muslinową suknie w kolorze wyblakłego malachitu, podciągając ją do góry, by zasłonić nadto odsłonięte piersi. Z kolei wyglądający na człowieka o frywolnym usposobieniu panicz zarzucił z powrotem częściowo zrzucony, szamerowany, czarny frak.

Para wyszła, zostawiając ich samych. August zdecydował się zaryglować drzwi, co wzbudziło niezrozumienie w oczach drugiego z detektywów.

– Teraz nikt nam nie będzie przeszkadzał.

– Raczej to my przeszkadzaliśmy im.

– Do rzeczy, Morganie. Zastanawiasz się pewnie, dlaczego kazałem aresztować Elise Volantine. Sądzisz, że to tylko przez to cholerne opium, ale dowodów jest więcej.

– Ciekawe. – Weller łknął szampana. – Oświecisz mnie?

– List Elisy Volantine, który ta rzekomo wysłała do matki w Hamphirsher, nigdy tam nie dotarł, co sugeruje, że pani Volantine mogła oszukać śledczych i wcale nie zjawić się w porcie dzień wcześniej, tylko w dniu zaginięcia swojego syna Doriana.

– Wiesz, że to nadal za mało. Jest jeszcze wątek Kojota i wiadomości z pogrozkami, a także sprawa fałszywego alibi Belindy i Fergusa Lapardów.

– Wiem. Słuchaj dalej. Elisa podtrzymuje, że opium zażywała jako lek na migrenę, jednak ja śmiem twierdzić, że kobieta w ten sposób tłumiała własne lęki i nerwicę.

– Sugerujesz, że zabiła własne dziecko, bo była niepoczytalna? – dziwił się Morgan. Poczul dziwny zawrót głowy. – Po co w takim razie nafaszerowałyby je opium?

Folston uśmiechnął się pysznie.

– Czy ty aby na pewno nie przesadziłeś dziś z alkoholem? No, pomyśl, Morgan. Oczywiście zdaje się być fakt, że uspiła dziecko, podając mu nalewkę z laudanum, aby ułatwić sobie robotę.

Weller poczuł, jak jego powieki stają się cięższe.

– Nie, khe, khe, nie przesadziłem... – zakasłał.



Ręka, w której trzymał kielich zadrżała. Detektyw, czując, jak coraz trudniej złapać mu oddech, łknął szampana.

– Może to prawda, co mówią – mruknął August.

– Co... mówią... khe, khe...

– Chociażby to, że Morgan Weller ma problemy z alkoholem. Za dnia jest słynnym bohaterem, w nocy zaś zwykłą pijaczną zapijającą dawne zaginięcie rodziców i ogólne poczucie osamotnienia.

Detektyw poderwał się mozolnie, chcąc dorwać śmiejącego się Folstona. Ten zwinnym jak u jaszczurki ruchem poderwał się z wygodnego szezlonga.

– Tak myślałem, detektyw Morgan Weller nawet na bankiecie nie umie pić z umiarem. Zaraz powiem hrabiemu Benjaminowi, że trzeba cię stąd... usunąć.

Morgan padł na marmurową podłogę. Z trudem wyciągnął dłoń w kierunku stojącego nad nim Augusta. Poczł ucisk w klatce piersiowej. Zesztywniał i zamknął oczy. Nie mógł już podnieść ciężkich powiek. Zasnął momentalnie, czując, że to koniec.



Rodzeństwo Lapardów zostało tymczasowo zwolnione z aresztu ze względu na brak konkretnych dowodów, które mogłyby jednoznacznie świadczyć o ich winie. Mieli jednak zakaz opuszczania miasta, a przeciwko nim prowadzone było dochodzenie. Policjanci często zjawiali się pod ich domem, by dopytywać o kolejne szczegóły, sprawdzać, co robią i jak się zachowują.

Tego wieczoru w ich progę zjawił się też Julian Volantine. Belinda myślała, że to jeden z policjantów, który jeszcze godzinę temu badał znajdujące się za domem podwórze.

Dziewczyna przeraziła się, widząc, że jej starszy o niemal dziesięć lat kuzyn trzyma w ręku rewolwer, którym celuje prosto w jej mostek. Nie odważyła się zamknąć drzwi. Z jego płonących gniewem oczu wyczytała, że mógłby do niej strzelić.

– Julian? – Cofnęła się o pół kroku. – Co ty robisz? O co ci chodzi?

– Już ty wiesz, o co – warknął Volantine, wchodząc do środka. Zamknął za sobą drzwi i przekręcił zamek. – Matka. Jest?

Sparaliżowana strachem Belinda pokręciła przecząco głową, wycofując się za przeciwną stronę stołu, na środku którego płonął miedziany lichtarz. W kuchni pachniało kolacją.

– Może to i lepiej... A teraz siadaj!

Piętnastolatka powolnym ruchem odsunęła krzesło i usiadła na nim. Przepęlnionymi trwogą oczyma wpatrywała się w bladą twarz Juliana.

– C-co z-zamierzasz? – wydukała.

– Przyszedłem wymierzyć sprawiedliwość – rzekł pan Volantine z nutą szaleństwa w głosie, po czym zawołał nerwowo: – Fergus!

Belinda zbladła. Rozważała, czy rzucić się teraz w kierunku wyjścia, przekręcić zamek i biec w dół ulicy. Nie pozwalał jej na to lęk, paralizujący ciało i umysł. Patrząc na Juliana, wiedziała, że ten nie żartuje, a rewolwer z całą pewnością jest naładowany.

– Fergus! – ryknął mężczyzna.

Chłopak zjawił się już po chwili. Stanął w przejściu łączącym kuchnię z salonem. Uśmiechnął się głupio, a kropla śliny spłynęła mu po podbródku. Był dwa razy większy od Juliana.

– Siadaj. Siadaj, do cholery, ty pieprzony imbecylny!

Fergus zmarkotniał momentalnie, opuszczając głowę i miażdżąc niczym kot.

– Odłóż broń, kuzynie – apelowała Belinda, trzymając ręce na blacie stołu. – Porozmawiajmy.

– Och, owszem, porozmawiamy, tylko każ mu usiąść, bo nie ręczę za siebie!

– Fergus... – Dziewczyna pociągnęła brata za rękaw pasiastej piżamy. – Fergus, usiądź, proszę...

– Nie... chcę... Zostaw...

Zmusiła go szarpnięciem ręki. Chłopak bardzo niechętnie zajął jedno z miejsc. Julian postanowił stać. Mówiąc, mierzył do nich z pistoletu.

– A teraz przyznacie się do zabójstwa mojego syna! Gadać!

– To nie my...

– Nie kłam, zdziro! Policja powiedziała mi, że tamtego dnia byliście w porcie. No, słucham, czym zawiniło wam to dziecko?! Czym, do cholery?! Dorian był niewinny, zawsze uśmiechnięty, kochający ludzi... Co tam się stało?! No, mów!

– Nie zrobiliśmy mu krzywdy! – W oczach piętnastolatki pojawiły się łzy. – Nie mamy z tym nic wspólnego! Musisz nam uwierzyć!

– A ten człowiek?

– Jaki człowiek?

– Ten, za którym poszedł ten przygłup. – Volantine niechlujnie podniósł rewolwer w kierunku zajętego liczeniem rozrzuconych na stole okruszków Fergususa.

– Nie wiem, naprawdę. Ja tylko...

– Szukałaś brata. Znalazłaś go w porcie. Jak? Skąd wiedziałaś, gdzie go szukać?

Zamarła, uchylając usta.

– Ja...

– No, ty, ty!

– Nie wiedziałam. Po prostu mi się wydawało...

– Wydawało ci się? – prychnął Julian, uśmiechając się niczym szaleniec. – Powiem, co mi się wydaje. Nie było żadnego mężczyzny. Twój chory na umyśle brat wyszedł rano z domu i porwał mojego syna, którego następnie zabił.

– Nie, to na pewno nie było tak! Skąd niby w Dorianie znalazłyby się ślady opium? My go nie używamy, za to twoja żona... – urwała, reflektując się, że powiedziała za dużo.

Kuzyn rzucił jej posępne spojrzenie.

– Elisa jest niewinna – rzekł stanowczo.

Niespodziewanie chory na umyśle chłopak poderwał się z miejsca i spróbował nerwowo sięgnąć po pistolet Juliana Volantine'a. Ten cofnął się gwałtownie. Podenerwowany Fergusus pewnie ruszył w jego kierunku. Wtedy zdezorientowany ojciec zamordowanego dziecka dwukrotnie wypalił z rewolweru. Skąpane w półmroku pomieszczenie rozjaśniło się na moment jak przy podwójnym uderzeniu błyskawicy.

Garbaty, młody mężczyzna zatoczył się, po czym, upadając, gruchnął głową o narożnik szafki. Krew wyciekła z jego podziurawionej klatki piersiowej, spływając szczelinami terakotowej posadzki.

Belinda pisnęła, podskakując na krześle. Szybko stłumiła w sobie krzyk i przerażona zerknęła w kierunku kamiennej twarzy własnego kuzyna. Zdażyła jedynie ujrzeć grubą lufę rewolweru.

– Ni... – Dźwięk urwał się, poprzedzając huk kolejnego wystrzału.

Gdy Julian spojrział na nią ponownie, zobaczył, że piętnastolatka nie ma już twarzy, za to cały czas utrzymuje się na szerokim krześle. Ciężko też było mówić o głowie młodej panny. Oderwany płąt potyliczny zatrzymał się białej ścianie, splamionej milionami czerwonych kropek krwi. Tuż obok spływały fragmenty mózgu.

Julian odetchnął ciężko. Zachowując pozorny spokój, odłożył rewolwer na stół, po czym poszedł w kierunku drzwi. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo trzęsą mu się ręce, a nogi odmawiają posłuszeństwa, ciągnąc go w dół. Wydostał się na zewnątrz, upadł na schody i od razu zwymiotował, brudząc sobie spodnie i skórzane półbuty. Jego ciało ogarnął chłód listopadowego wieczoru. Poczuł, jak dreszcz o nieznaną mu dotąd siłę przebiega po jego plecach.

Morderca postanowił zaczekać na przybycie Abigail Lapard, swojej ciotki, oraz funkcjonariuszy, którzy zaalarmowani wystrzałami zjawili się na miejscu już po kilkunastu minutach. Julian oddał się w ich ręce.



Ocuciło go chluśnięcie lodowatej wody. Morgan zamrugał kilkukrotnie oczami, adaptując wzrok do panującego wokół mroku. W półciemności dostrzegł niewyraźne zarysy mężczyzn, wysokich i barczystych. Jeden z nich, dryblas o łysym czole, był tym, który wylał na niego wiadro wody. Z kolei ten drugi, ciemny brodac z zakręcanym ku górze wąsem, w rękę trzymał nabijany gwoździami kij. Obaj wyglądali jak wzięte z ulicy łachudry, zwykle portowe rzezimieszki.

Morgan zorientował się, że jest skrępowany, a na jego szyi zawiązano pętle. Nogami ledwo utrzymywał się na podstawionym przez oprychów stołku. W powietrzu czuł zapach stęchlizny. Domyślił się, że pomieszczenie musiało znajdować się pod ziemią. Mogła to być jakaś stara piwnica, podziemny magazyn lub część miejskich kanałów. Dookoła słychać było popiskiwanie szczurów. W rogu salki stał stary stolik, na którym leżało jego wyposażenie, w tym grawerowany srebrny rewolwer, który zwykle nosił za pazuchą.

– Ha! A mówiłem, że żyje! – ucieszył się ten łysawy. – Szef dał mu za małą dawkę. A szkoda, bo już dawno byłoby po robocie.

– Poczekaj – smagnął leniwie ciemnowłosa wąsacz. – Niebawem zjawi się tu August. On powie, co dalej.

– He, he. Pan detektyw dostanie kulkę w łeb i na tym się skończy.

– Głupiś... – Brodac pokręcił głową. – A po co w takim razie kazałby wiązać na nim pętle? Poza tym echo rozniosłoby dźwięk wystrzału.

– Racja. Czekać... słyszysz? Chyba idzie.

– Nareszcie.

Do cuchnącego wilgocią pomieszczenia wmaszerował zadowolony z siebie August Folston, odziany w matowy szary płaszcz i czarny melonik. Zauważywszy, że Morgan spogląda na niego spode łba uśmiechnął się zadowolony, wyciągnął cygaro i usiadł na jednym ze zbutwiałych krzesel.

Niewielka komnata rozświetliła się na moment w blasku płonącej zapalki. Folston zaciągnął się tytoniem, może z dodatkiem opium – Morgan nie wiedział. Za to doskonale rozumiał, w jak bardzo beznadziejnej sytuacji się znalazł. Nadal jednak nie mógł pojąć, dlaczego młodszy od niego detektyw postanowił wbić mu nóż w plecy.

– Marnie wyglądasz – powiedział August, badając Wellera bladoniebieskimi oczyma. – Czyżbyś przesadził wczoraj z alkoholem? Na szczęście nie musiałem tego tłumaczyć Lindholmowi. Wyszliśmy tylnymi drzwiami. Gawieź była tak pijana, że nikt nie zauważył naszego zniknięcia. – Mężczyzna zaciągnął się. – Zastanawiasz się pewnie, dlaczego to zrobiłem. Cóż...

– Nie... – jęknął Morgan. – Nie ujdzie ci to płazem...

– Nie dbam o to – fuknął Folston, odsuwając od ust cygaro. – Nie będzie żadnych dowodów. I nikt cię nie znajdzie. Moi przyjaciele o to zadbają.

Tęgawe łotry naprężyły swe bycze ramiona.

– To koniec przygód Morgana Wellera – ciągnął August. – Świat zapomni o tobie tak szybko, jak równie prędko postawił cię kiedyś na piedestale.

– Więc... – stęknął detektyw. – Chodzi o pozycję?

– Nawet kiedy ledwo dychasz, zachowujesz zdolność dedukcji. To imponujące. Słowa, które tutaj padną nigdy nie zostaną powtórzone. Nigdy i nigdzie. Powiem ci zatem, dlaczego to zrobiłem. Dlaczego tutaj jesteś i co naprawdę przytrafiło się sześciolletniemu synkowi państwa Volantine'ów. Chyba nie masz nic przeciwko? Od kilku tygodni walczysz, by rozwikłać tę sprawę. Pewnie zżera cię ciekawość.

Morgan milczał. Czuł, jak rzemienie wbijają mu się w nadgarstki, a zawiązana na szyi pętla przypomina, że jeden niewłaściwy ruch tudzież przypadkowy upadek z zydlą będzie mógł stać się bezpośrednią przyczyną jego śmierci.

– Zacznijmy ode mnie – podjął Folston, wypuściwszy z ust chmurę dymu. – Nazywam się August Folston. Od ponad dziesięciu lat działam jako prywatny detektyw. W dzieciństwie byłem szkolnym prymusem. Nie miałem przez to wielu przyjaciół, a ojciec bił mnie pasem,

gdy opuszczałem się w nauce. Od zawsze lubiłem badać sprawy kryminalne. Kojarzysz zapewne *Wzgórze Maków* pióra Cyrusa Randalla? A niech mnie, uwielbiałem tę książkę...

– Do rzeczy! – warknął Morgan, szarpiąc związanymi z tyłu rękoma. Omal nie stracił przy tym równowagi. – Mów konkretnie. Albo zabij mnie wreszcie.

– Tak ci spieszno do ziemi? Dobrze, skrócę opowieść. – August zaciągnął się cygarem. – Zanim spróbowałem zostać tobą, chciałem być jak Abraham Mortimer, główny bohater wspomnianej powieści. Tak, jak ty, chciałem zostać detektywem. Kiedy przybyłem do Devstorn, szybko zauważyłem, że jesteś już uważany za najlepszego w mieście. Mimo to spróbowałem, licząc na to, że w końcu się potkniesz, jednak ty zwykłeś być bezbłędny i nadal najwybitniejszy w swym fachu. – Mężczyzna rozsiadł się wygodnie. – Zabolalo mnie to trochę, przyznaję, ale nie zamierzałem tak łatwo odpuścić.

– Więc co zrobiłeś? – Morgan podniósł wzrok. – Zamordowałeś niewinne dziecko?

– Nieosobiście. Nim doszło do całego zdarzenia, uknułem przeciwko tobie intrygę mającą zrzucić z piedestału spizowy posąg detektywa, który nigdy się nie myli. Przechodząc do sedna... Wybór Volantine'ów jako ofiar był całkowicie przypadkowy, a listy z pogrózkami miały tylko odwrócić uwagę żandarmerii. Nie wszystko jednak poszło zgodnie z planem. Trafiliś na właściwy trop, dlatego zacząłeś mi zagrażać. Co się zaś tyczy dziecka... Dorian Volantine został zamordowany przez Fergusa Laparda, którego skłoniłem do zabójstwa, wmawiając mu, że syn jego kuzyna jest złym demonem. Jak pewnie zauważyłeś, ten niepełnosprawny chłopak miewał skłonności do wywoływania u siebie ataków paniki. Myślę, że zrobił to w ferworze. Nieważne. Dla mnie liczyło się, że zrobił wszystko zgodnie z planem. Pomagała mu w tym jego siostra, która podała dziecku sporą dawkę laudanum.

– Jak to „miewał”? – zapytał ochryple Weller.

– Co? Ach, bo ty nic nie wiesz. Lapardowie nie żyją. Zamordował ich Julian Volantine tego samego dnia, gdy zostali tymczasowo zwolnieni z aresztu.

– Przekonałeś imbecyla... Ale jak to było z dziewczynką?

– Ją akurat przekupiłem. – Folston wzruszył ramionami. – Wizja wzbogacenia się o równowartość czterech miesięcznych pensji jej matki skusiła ją na tyle, że była gotowa zrobić dla mnie wszystko, o co bym tylko poprosił. Ale dość już o tym. Opowieść powoli dobiega końca. Celowo wciągnąłem cię w tę grę. Celowo oskarżyłem Elisę Volantine i od samego początku pociągałem za sznurki. Miało to być śledztwo, którego Morgan Weller nie rozwiąże, a jego zamknięcie miasto przypisze Augustowi Folstonowi, nowemu bohaterowi Devstorn.

Teraz tylko wystarczy podtrzymać oskarżenie. Volantine'owie pójdą do więzienia, a cały splendor za rozwiązanie sprawy przypadnie mnie. O tobie zaś wszyscy prędzej czy później zapomną.

– A więc tak to rozegrałeś...

August wstał, odrzucając na bok prawie że spalone całkowicie cygaro.

– To wszystko było jednym wielkim teatrem kłamstw – rzekł z dumą. – Wy byliście jedynie kukiełkami, a ja stale pisałem scenariusz tego spektaklu. To ja jestem Kojotem. Przechytryłem cię, Morgan. Przyznaj to.

– Działałeś wbrew prawu i wszelkim zasadom moralności... Tak nie postępuje stróż prawa, tylko tchórz...

Mężczyzna o zimnym spojrzeniu uśmiechnął się zjadliwie.

– Nie chciałem cię zabijać, ale w pewnym momencie zacząłem się obawiać, że w końcu wpadniesz na mój trop, że wyjdiesz ze swojej roli... Sądzę jednak, że należały ci się te wyjaśnienia. W końcu tak bardzo otarłeś się o prawdę, a teraz... Tutaj kończy się twoja przygoda. To ostatnia scena z twoim udziałem. Jak mawiają w Murecji, *Testallo an de grano*. Żegnaj.

Folston dał znak swoim ludziom. Morgan nie mógł nic zrobić. Serce waliło mu tak mocno, jakby zaraz miało wyskoczyć z jego klatki piersiowej. Na plecach poczuł trupie objęcia śmierci. Nie tak to sobie wyobrażał.

Łysawy oprych zbliżył się do niego gotów kopnąć w drewniany stołek. Niespodziewanie usłyszeli syczenie. Dźwięk dobiegał zza okutych żelazem drzwi.

– Co jest? – burknął ciemnowłosa mężczyzna wyposażony w kij z gwoździami.

August ruchem zwinnym jak u jaszczurki rzucił się pod stół.

Nieoczekiwanie doszło do potężnej eksplozji, która wysadziła drzwi wraz z ościeżnicą. Wnet wzniosły się tumany kurzu, które zasłoniły widok ogłuszonym mężczyznom, znajdującym się w środku niewielkiego pomieszczenia.

Jedna z wystrzelonych cegieł niefortunnie trafiła w zydeł, na którym ustawiono skazańca, przesuwając go o dobre kilka kroków. Morgan stracił równowagę i osunął się na bok. Pętla od razu zacisnęła się na jego szyi, on zaś wytrzeszczył oczy, do których naleciało mnóstwo drobinek pyłu. Dusił się, desperacko walcząc, by stanąć na jednej z przyzm usypanego przed nim gruzu. Nie dosięgał, ale się nie poddawał.

Do pomieszczenia wbiegła dwójka ludzi.

Mężczyzna odziany w długi szarawy płaszcz podróżny doskoczył do niego zajęczym susem. Morgan rozpoznał go po butach z ostrogami. Tajemniczy podróżny, pomyślał. Informator. Wybawca. W dodatku wyposażony w maczetę.

Chłopak jednym pewnym ruchem przeciął linę, na której dyndał detektyw Weller. Potem oswobodził jego skrępowane ręce.

– Rewolwer?! – zapytał chaotycznie, widząc podnoszących się oprychów. – Masz rewolwer?!

Morgan oprzytomniał pod wpływem adrenaliny. Prędko ruszył w kierunku stołu. Spoczywały na nim jego rzeczy. Pod nim nie było już Augusta Folstona.

Detektyw sięgnął po broń, wycelował i przymierzył. Pociągnął za spust. Łysawy padł na klepisko, rozbijając sobie czoło o jedną z ostrych cegieł. Następny strzał trafił w ramię nadciągającego brodacza. Ten zatoczył się, zacisnął zęby i uniósł nabijany gwoździami kij. Weller poprawił. Kolejny z pocisków trafił prosto między żebra ogarniętego furią zakapiora, który upadł na wznak, rozłupując przewrócone pod wpływem wybuchu krzesło.

Drugą osobą, która ruszyła Morganowi w sukurs była postać, której ten by o takie coś nie podejrzewał. Aurora Marie Jennigis, córka znanego producenta broni i materiałów wybuchowych uśmiechnęła się zawadiacko, gdy ich oczy trafiły na siebie.

– Folston... – odchrząknął detektyw. – Gdzie on jest?

– Pobiegł tędy! – wskazała panienka, stając po drugiej stronie zawałonej ściany. – W kierunku wyjścia!

– Weźcie rewolwer... Miał go jeden z tych bandziorów...

Chłopak przeszukał łysawego.

– Aha, jest!

– Folston ucieka! – Aurora tupnęła pantoflem o surowe klepisko. – Szybko!

– Kimkolwiek jesteś, idziesz ze mną. – Weller zwrócił się do nieznanego wybawcy. – A ty, młoda damo, biegnij zawiadomić komisarza Kandlehofera. Powiedz mu, że za śmiercią Dorianą Volantine'a stoi August Folston. Ruszajmy, dalej!

●

Czym prędzej wybiegli na ulice. Białe promienie wychylającego się zza chmur słońca oślepiły na moment detektywa. Gdy jego zmysły znów się wyostrzyły i ustabilizowały,



Morgan zaczął przypuszczać, że znajduje się gdzieś w Górnym Mieście, jednej z bogatszych dzielnic stolicy Saveonu. Nie wiedział, która może być godzina, lecz, sądząc po liczbie przemierzających ulicę mieszczan i słońcu w prawie zenicie, zgadywał, że musi być wczesne popołudnie, prawdopodobnie pora obiadowa.

– Tam jest! – zawołał Thomas Folston, chłopak, który przybył na ratunek detektywowi.

Przemierzając kanały mieli chwilę czasu, by się zapoznać. Dotychczasowy tajemniczy informator okazał się być bratankiem sprawcy całego zamieszania. Przybył do Devstorn z zamiarem rozprawienia się ze stryjem, którzy rzekomo odpowiadał za śmierć jego ojca. Thomas sądził, że August zamordował brata, by przejąć po nim majątek i otworzyć w mieście własne biuro.

– Zatrzymajcie go! – wołał ochryple Morgan, goniąc za uciekinierem. – Zatrzymajcie mężczyznę w szarym płaszczu!

Skołowani ludzie rozglądali się energicznie niczym spłoszone hałasem surykatki. Niektórzy śledzili wzrokiem pędzącego ile sił w nogach detektywa Wellera. Ten był jednak zbyt wycieńczony, by nadażać za zbiegiem. Cały czas ochryple apelował do obywateli o ujęcie sprawcy.

Thomas wskoczył na pozostawionego niedaleko rumaka. Tymczasem jego stryj przewrócił kilku przechodniów, przedzierając się przez ulicę, po czym wskoczył na jeden z zaparkowanych powozów, zrzucając z niego odpoczywającego woźnicę. Desperacko złapał za lejce i ponaglił wierzchowce. Białe rumaki szarpnęły powozem, który ruszył z miejsca, omal nie tratując przechadzających się wzdłuż ulicy arystokratek, które potykając się wpadły do przydrożnego rynsztoka ku aprobacie zwykle opluwanego w tym miejscu bezzębego żebraka, który widząc ich pobrudzone bufiaste suknie poczuł pewien rodzaj satysfakcji.

Obok tracącego siły detektywa zjawił się Thomas.

– Przykro mi, ale szybszy będę samemu. To sprawa osobista.

– Nie! Zaczekaj!

Młodzieniec uderzył ostrogami w boki gniadej klaczy, która pocwałowała w dół ulicy. Cała ta sytuacja wzbudzała niemałe zainteresowanie wśród mieszczan, którzy rozstępowali się, uchodząc czym prędzej przed pędzącymi końmi.

Morgan czuł się bezradny. Do czasu. Grał w nieczystą grę, to i postanowił zagrać nieczysto. Wskoczywszy na kozioł wozu z węglem, wyszarpał cugle z rąk starego kuczera, który po kilku sekundach jazdy postanowił ewakuować się z furmanki wprost na bruk.

Weller po raz kolejny smagnął wodzami. Dwa bułane wierzchowce cwałowały ile sił w nogach, stukając kopytami o kamienną nawierzchnię. Mężczyzna za wszelką cenę starał się nie stracić z oczu oddalającego się Thomasa.

Padły pierwsze strzały. Młodzieniec wystrzelił dwa razy w kierunku wystającego ponad dach karety melonika jego stryja. Postanowił podjechać z lewej. Nie widział, co August robi z rękoma. Gdy chłopak osiągnął przednią krawędź trzęsącego się powozu, zauważył, że przeciwnik celuje do niego z połyskującego niczym onyks rewolweru. Znów oddano strzały. Jeden z nich rozbił filigranową szybę zakładu jubilerskiego. Żaden z pocisków nie dosięgnął jednak nieustraszonego jeźdźca, którego pragnienie zemsty nie pozwalało mu odpuścić.

– To przestępca! – krzyczał Thomas. – Zatrzymajcie go!

Niespodziewanie drogę białym rumakom zagroził oddział policji.

– Zatrzymaj powóz! – krzyknął z daleka dowódca. – Stój! To ostatnie ostrzeżenie!

Brak reakcji. Młody oficer dał sygnał. Podświadomie czuł, że pochopność tej decyzji okaże się uzasadniona. Żandarmi wypalili ze strzelb.

August zareagował błyskawicznie i skręcił końmi w lewo, unikając zabójczej salwy, która ostrzelała bok czarnego powozu. Policjanci błyskawicznie dosiedli koni i ruszyli w pościg.

Morgan zrównał się z nimi. Wiedział, że Aurora Marie Jennigis nie miała szans, aby w porę zawiadomić Viktora Kandlehofera, jednak obecność konnych wskazywała na to, że mogła to zrobić już wcześniej, być może poprzez jednego z policjantów, bo przecież sama śledziła cały czas Folstona. Teraz zaś pospieszyła upewnić się, że komisarz rozpoczął obławę. Jedno detektyw wiedział na pewno – jeśli jego przyjaciel rzuci do miasta wszystkie jednostki, to złoczyńca z całą pewnością zostanie pozbawiony wszelkich dróg ucieczki.

August stanął na koźle i obrócił się, oddając strzały w kierunku goniących go funkcjonariuszy. Jeden z nich oberwał w ramię i spadł z grzbietu wierzchowca. Wykorzystał to postanowił Morgan Weller. Choć wahał się przez chwilę, w końcu zeskoczył z załadowanej węglem furmanki, lądując w siodle na karym ogierze, który początkowo spłoszył się i zarżał przeciągle. Tymczasem porzucony wóz zбочzył z trasy. Konie zatrzymały się na stoisku z porcelaną, tratując i zamieniając w pył cenne dla właściciela sklepu wyroby. Wóz, który wjechał do rynsztoka, stracił tylną ośkę i dwa koła, rozbił się, rozsypując na ulicy pół tony węgla.

Konni strzelcy wypalili w kierunku uciekającego przestępcy. Bez skutku. Po drodze do obławy dołączali kolejni policjanci.

Morgan zauważył, jak młody Thomas Folston wskakuje na dach pędzącej karocy. Tylko łut szczęścia sprawił, że wystrzelony przez Augusta pocisk nie przeszył głowy jego bratanka. W momencie kiedy złoczyńca oddał strzał, powóz wjechał na wystający z ulicy fragment bruku. Thomas zachwiał się i upadł. Teraz ślizgał się po dachu pojazdu, usilnie próbując z niego nie spaść.

Pościg dotarł na Plac Defilad, minął Wieżę Zegarową i skręcił na północny wschód, wjeżdżając w ulicę Menniczą. Uciekający niechybnie zmierzał w kierunku Mostu Tryumfalnego. Tym razem to nie przypadek, a doświadczenie komisarza sprawiło, że ten wydał natychmiastowy rozkaz obstawienia wszystkich mostów. I choć nie udało się zrobić tego na czas, to jednak w ostatnim momencie żandarmeria zdołała zablokować największy z mostów nad Amirą, rzeką dzielącą miasto na dwie części.

Stąd nie było odwrotu. August nie mógł zawrócić ani odbić w bok, toteż pędził w kierunku rozstawionych przed nim żandarmów, licząc, że nie dosięgną go kule. Na ogonie miał jeszcze Morgana Wellera, który podjechał z prawej i oddał w jego kierunku pięć strzałów. Jeden z pocisków drasnął Folstona w ramię.

– Trzymaj się! – krzyknął detektyw do leżącego na wozie Thomasa Folstona. Przeczuwając, co się zaraz stanie zawołał raz jeszcze: – Skacz!

– Co?!

– Skacz, mówię!

Zbliżali się nieuchronnie do ustawionej na środku mostu drużyny. Każdy z ludzi Kandlehofera celował w kierunku woźnicy.

– Zaraz do nas wypalą! Skacz, do cholery!

– A jak mnie nie złapiesz?!

Moment zastygł na moment, skupiając wzrok na przerażonych oczach młodzieńca.

– Złapię.

Katastrofa była już nieunikniona.

– Oddział! – zawołał komisarz, szykując się do wydania rozkazu. – Ognia!

Masowy wystrzał. Huk. Rżenie koni. Tumany dymu. Thomas w ostatniej chwili zeskoczył z dachu powozu, łapiąc w locie wystawioną dłoń detektywa Wellera, który omal nie spadł z grzbietu wierzchowca, gdy musiał za wszelką cenę utrzymać chłopaka w powietrzu i wciągnąć go na siodło. Zatrzymał karosza. Jedna z kul trafiła go w plecy w momencie, gdy zdyszany ogier obrócił się bokiem, czując na sobie ciężar dwójki jeźdźców.

Pociski trafiły w konie, które momentalnie upadły do przodu, wybijając karekę wysoko w górę. Spadający wóz z impetem gruchnął o krawędź mostu, zsunął się i wpadł do rzeki. Przez chwilę nigdzie nie było widać Augusta Folstona. Niektórzy podejrzewali, że zginął w wyniku ostrzału lub, trzymając się wozu, wpadł do lodowatej Amiry.

Morgan dostrzegł go leżącego na bruku. Pewnym krokiem ruszył w jego stronę, wyciągnął rewolwer i zbliżył się. Zauważył, że łotr ma skrzyżowaną kostkę. Nie bacząc na zbliżających się żandarmów, detektyw nadepnął na nogę swojego rywala i wycelował w niego pistolet.

– Próbowaleś mnie zabić – wycedził przez zęby. Ból w plecach i cieknąca z rany krew nie miały teraz znaczenia. – Mogłeś oszczędzić mi wyjaśnień. To był twój błąd. Teatr Kłamstw. Teraz to ja piszę zakończenie.

August wił się, łkał i próbował wstać, jakby nadal chciał kontynuować ucieczkę. Nie było już na jego twarzy złośliwego uśmiechu, a grymas błagania o litość.

Weller wycelował w jego rozbitą głowę.

– Morgan, nie! – usłyszał znajomy głos.

Komisarz zbliżał się w towarzystwie strzelców.

– Nie możesz go zabić, bo każdy złoczyńca, jak dobrze wiesz, zasługuje na sprawiedliwy sąd i odpowiednią karę.

– To on stał za tym wszystkim – ciągnął detektyw, szczerząc wrogo zęby. – Odpowiada bezpośrednio za śmierć tego dziecka i pośrednio za śmierć Lapardów. Całe to śledztwo było grą, którą ułożył! Jednym wielkim spektaklem! Tak mi powiedział!

– Wiem. Wiem już o wszystkim. Niemniej jednak jesteśmy tylko narzędziem sprawiedliwości. Chwytamy złodziei, koniokradów i morderców, a potem dajemy im sprawiedliwy osąd.

– Czasem ich zabijamy, samemu wymierzając sprawiedliwość. – Morgan nie odrywał wzroku od żałośnie wyglądającego Folstona. – Ten tutaj próbował mnie załatwić. Chcę, by gorzko tego pożałował.

Za Morganem wstawił się Thomas Folston, który podczas pościgu zgubił swój rewolwer. Teraz nie miał czym dokończyć dzieła.

– Zabij go. Zastrzel. Dopomożesz mi w zemście.

– Odsuń się, chłopcze – zagroził Viktor, po czym raz jeszcze spojrzał na płonąca gniewem twarz przyjaciela. – Morgan, nie każ mi użyć siły. Odstąp, proszę.

Widząc brak reakcji, dał sygnał swoim ludziom. Ci wycelowali broń w kierunku dwójki mężczyzn. Zrobiło się nieprzyjemnie.

– Proszę cię po raz ostatni...

Detektyw odstąpił w końcu, z trudem chowając broń za pazuchę.



Sprawa śmierci sześciolatniego Dorian Volantine'a znalazła swój ostateczny finał dopiero w sali sądowej. August Folston za zorganizowanie spisku, nakłanianie Belindy i Fergusa Lapardów do zabójstwa, mylenie organów ścigania, a także próbę zamordowania detektywa Wellera został skazany na szesnaście lat więzienia. Na ławie przysięgłych zasiadał między innymi Thomas Folston, który oskarżał stryja o zabójstwo własnego brata. Chłopak nie miał jednak żadnych konkretnych dowodów, że tak było, więc sąd w ogóle nie zamierzał brać tego pod uwagę.

Kiedy August był wyprowadzany, rzucał groźbami w kierunku Morgana, komisarza Viktora i sędziego Klementa Rovllera, który prowadził sprawę. A właściwie dwie, bo drugim stającym dziś przed sądem był Julian Volantine, który w świetle prawa dokonał czynu znacznie gorszego niż Folston.

Sąd w swej mądrości wziął pod uwagę fakt, że młody mężczyzna, mordując kuzynostwo, działał w afekcie i nie mógł w pełni kontrolować zarówno swoich ruchów, jak i emocji. Widząc skruchę na jego twarzy, sędzia zdecydował ukarać go karą dwunastu lat pozbawienia wolności. Taka decyzja wywołała jawne oburzenie u Abigail Lapard, która wstała z miejsca i ze łzami w oczach wygłosiła przemówienie, jak bardzo została skrzywdzona przez Juliana oraz prawo, które się nad nim zlitowało. Klement Rovller wysłuchał jej stonowanej diatryby, po czym pozwolił kobiecie opuścić salę rozpraw. Zdania nie zmienił.

Elisa Volantine została wreszcie zwolniona z aresztu, gdzie przebywała aż do zakończenia śledztwa. Jak się później okazało, rzeczywiście wybrała się na pocztę dwudziestego szóstego października, czyli dzień przed uprowadzeniem jej syna. List, który wysłała do matki w Hamphirsher, dotarł tam z dużym opóźnieniem. Zabierając głos w sądzie, powiedziała, że po śmierci dziecka czuje w sobie ogromną pustkę, ale też głęboko wierzy, że silne uczucie, którym darzy się wraz z mężem przewycięży wszelkie smutki i pomoże im się po tym wszystkim pozbierać. Dodała, że pomimo tego, co zrobił Julian, ta nigdy go nie opuści.

Sędzia w negatywny sposób odniósł się do aresztu pani Volantine, stwierdzając, iż był on nieproporcjonalnie długi i po części nieuzasadniony. Odkładając jednak na bok wszystko, co złe, Klement Rovller pochlebnie wyraził się na temat działań Morgana Wellera i obławy, którą ten zorganizował. Nie wspomniał jednak Thomasa Folstona ani Aurory Marie Jennigis, którzy w tym wypadku okazali się być cichymi pomocnikami detektywa. Z panią Morgan spotkał się po wyjściu z sali sądowej.

– Jak pana rana, jeśli wolno spytać?

– Goi się. Kula ominęła organy, więc medyk mówi, że wszystko będzie dobrze.

– Ach, całe szczęście... – odetchnęła dziewczyna. – No, a więc to koniec, panie Weller. Wszystko się wyjaśniło, zło zostało pokonane... Tutaj wszystko się kończy.

– Nonsens – wycedził detektyw. – Świat pełen jest łotrów i morderców, więc w moim zawodzie praca nigdy się nie kończy. Prawda jest taka, że karmią mnie ludzkie tragedie, panno Lindholm.

– Jennigis. Choć to wbrew normom, wolę nazwisko mojego ojca.

Morgan uśmiechnął się półgębkiem.

– Zapomniałem podziękować... Wtedy za oswobodzenie. Jak wpadliście na mój trop?

Dama wzruszyła delikatnie ramionami.

– Thomas cały czas śledził swojego stryja, a ja po prostu widziałam, jak pana wyprowadzają. Towarzystwo dwóch silnych, ewidentnie niepotrafiących się poruszać we fraku mężczyzn przykuło moją uwagę. Proszę sobie wyobrazić, że z Thomasem spotkałam się dopiero przy wejściu do kanałów. Szybko się okazało, że łączy nas ten sam cel.

– Ocaliłaś mnie, panno Jennigis, choć wcale nie musiałaś. To było bardzo ryzykowne.

Dziewczyna uśmiechnęła się serdecznie.

– Zrobiłbyś to samo, detektywie. W końcu jesteś od ratowania ludzi.

Morgan uniósł dumnie głowę, nie odwracając wzroku od błękitnych oczu arystokratki.

– Jak mogę się odwdzięczyć?

– W zasadzie jest sprawa, którą mógłby pan się zająć...